Nr. 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XIX.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1913.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Koron (Mk)**; dla Ameryki **8 Koron.**

Uprasza się o łaskawe uiszczenie zalegającej prenumeraty za rok 1913, pod adresem:

Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

NR 4

Z Ameryki południowej.

Sprawozdanie z pracy XX. Misyonarzy w Guarany-mirim.

Już dwa lata upływają, odkąd stanęliśmy na bujnej ziemi brazylijskiej, w stanie św. Katarzyny, gdzie w okolicach górzystych, zacisznych, wieczna panuje wiosna. Jednakże nie tak poetycznie i przyjemnie, jakby przypuszczać można, zaczęliśmy tu pracę między emigrantami polskimi. Piękne okolice, śliczne otoczenie zdawało się urągać naszym trudnym początkom. Przez trzy miesiące z górą nie mieliśmy własnego mieszkania, mieszkaliśmy we wendzie (gospodzie), gdzie nie można było ani zapakowanych rzeczy rozłożyć ani zacząć jakiejś większej, poważniejszej pracy, z braku miejsca. Przed Bożem Narodzeniem 1911 roku zamieszkaliśmy we własnem, tymczasowem mieszkaniu; zaczęliśmy gospodarkę prowadzić na własną rękę. Już nam było lepiej, swobodniej.

Z biegiem rozwijania się pracy naszej, ze zbliżeniem się tutejszych skwarów letnich, doznaliśmy innego rodzaju trudności. Obydwaj przyjechaliśmy z wygodnej Europy, z umiarkowanego klimatu, nie znając się na sztuce konnej jazdy, nie umiejąc języka portugalskiego, ani nie będąc oswojonymi, choćby w części, z tutejszym klimatem. Dlatego też to niefortunne zestawienie dało nam się gorzko obydwom we znaki. Nie obeszło się bez spadków z konia, zwłaszcza na lichej górzystej drodze, dzięki Bogu, że przy tem wyszliśmy cało, bez połamania ręki czy nogi. Obecnie jazda konna nie sprawia nam trudności. Brazylianie, których mamy w naszej parafii około 40 rodzin, byli przez rok bez opieki duchownej, za to teraz zajmuje się nimi gorliwie ks. Stawianowski, jako

ich proboszcz. Największe przecież trudności sprawia nam tutejsze lato ze swymi skwarami i upałami. Do nich nie można ani się przyzwyczaić, ani w jakiś inny sposób ich pokonać, trzeba tylko je cierpliwie znosić. Ludzie, co są już w Brazylii 20 lat, jeszcze niekiedy na tutejsze skwary się żalą! Nic więc dziwnego nam nowicyuszom, że te upały dały się nam tak dotkliwie we znaki. Inny klimat w Paranie.

Praca nasza na tem nowem stanowisku obejmuje obszerne pole działania: dwie polskie parafie, odległe od siebie przeszło 80 km., wraz z kaplicami i szkołami, ekskursye do Polaków zamieszkujących w sąsiednich niemieckich parafiach, o ile nam niemieccy księża proboszczowie nie wzbraniają wstępu.

I. Parafię tutejszą, massarandubską, utworzono z okręgu największej kolonii, Massaranduby, lubo obecnie najwięcej Polaków posiada sąsiednia kolonia Guarany-mirim, w której się znajduje polska kaplica parafialna i nasze mieszkanie. Parafia jest bardzo rozległa, ma liczne kolonie, część ziemi w jej obrębie nie jest jeszcze rozparcelowaną. Według relatorio parochial z 1912 roku[1]), liczba Polaków w poszczególnych koloniach, o ile mogłem sprawdzić w czasie mych objazdów, przedstawia się w następujący sposób:

Lp.	Kolonia	Rodziny	Liczba dusz	Szkoła polska	Kaplica	Uwagi
1	Massarunduba[2])	31	210	szkoła	—	
2	Guarany-mirim	58	381	szkoła	kaplica paraf.	
3	Guarany-assu	10	40	—	—	Dzieci chodzą do szkoły na Telegraf-Linię.
4	Telegraf-Linia	37	197	szkoła	kaplica	

[1]) Biskupi konsystorz we Florianopolis żąda z każdego roku szczegółowego wykazu statystycznego z najmniejszymi drobiazgami, tak zwanego relatorio parochial.

[2]) Massaranduba jest to nazwa gatunku drzewa bardzo twardego i ciężkiego, siekierą go rąbać nie można.

Lp.	Kolonia	Rodziny	Liczba dusz	Szkoła polska	Kaplica	Uwagi
5	Sete de Janeiro (Linia 7 stycznia)	16	84	szkoła	kaplica[1])	
6	Braço do Norte (Ramię północne)	18	105	szkoła	kaplica murowana	na niej zastałem 2.268 milr. 940 rejs. długu.
7	Braço do Sul (Ramię południowe)	5	35	—	—	
8	Benjamin Constante (Konstantyna)	25	170	szkoła	—	
9	Treze de Maio (Linia 13 maja)[2])	20	124	szkoła	kaplica	
10	Potanga	—	—	—	—	Brazylianie rozrzuceni, bez szkoły i kaplicy.
11	Jaragua-assu	—	—	—	—	Mieszkają częściowo protestanci, adwentyści; ziemia jeszcze nie rozparcelowana.
12	Ponte Comprido	—	—	—	—	
	Razem	220	1346			

Jeżeli do tej liczby 220 rodzin polskich, czyli 1346 dusz, wliczymy około 40 rodzin brazylijskich, rozrzuconych przeważnie nad rzeką Potangą i kilka rodzin włoskich i zobojętniałych katolików niemieckich, to parafia nasza massarandubska ogółem posiada 280 rodzin czyli około 1800 dusz.

W obrębie naszej parafii znajdują się jeszcze wielkie obszary lasu dziewiczego na Jaragua-assu i Ponte Comprido, które rząd zamierza rozparcelować. Podobno sprowadzi osadników z Europy. Gdyby przybyli i osiedlili się Polacy, to parafia nasza znacznieby się zwiększyła.

Kaplicę we właściwem znaczeniu mamy jedną w Braço do Norte, wcale piękną, murowaną, którą na rok przed naszem

---

[1]) „Szkoła-kaplica" oznacza, że szkoła jest równocześnie kaplicą, w niej się odprawia nabożeństwo w czasie ekskursyi księdza.

[2]) Kolonie mają różne nazwy, jak Linia 13 maja, 7 stycznia, bo w te dnie zaczęto je wymierzać, lub Telegraf-Linia, bo tędy miał przechodzić telegraf, którego dotąd niema i nie będzie, lub Braço do Norte, do Sul, — stosownie do swego położenia.

przybyciem ukończono. Zastaliśmy na niej 2.268 milr. 940 rejsów (niespełna 4000 koron) długu. Spłaciłem już około 500 milrejsów. Na Linii 7 Stycznia i 13 Maja i Telegraf-Linii są szkoły, które są zarazem i kaplicami. Zresztą mamy przywilej, że w razie potrzeby możemy i w prywatnem mieszkaniu odprawić mszę św. i sprawować święte Sakramenta, jak to robić musimy między Brazylianami (na dwóch miejscach), bo ani na szkołę z desek zbitą zdobyć się nie mogą.

Najczęściej bywamy z nabożeństwem w kaplicy na Braço do Norte; zwykle raz w miesiącu. Należy do niej, prócz 18 rodzin w miejscu, jeszcze 25 rodzin w sąsiedniej kolonii Benjamin Constante. Ze spłatą długów sprawa pójdzie, zdaje mi się, odtąd we wolniejszem tempie, bo obydwie kolonie kłócą się o drogę, która łączy Benjamin Constante z Braço do Norte; ani jedna ani druga kolonia nie chce jej w porządku utrzymywać, mostów naprawiać, trawy ścinać. Trudno ich pogodzić. Obydwie partye odwołują się na O. Franciszka, który dawniej ich obsługiwał. Benjamin Constante nie chce wobec tego do kaplicy w Braço do Norte należeć ani jej długów spłacać. Polacy wszędzie ze swej wady narodowej, kłótni i niezgody, znani!

Z powodu dwóch parafii i tutejszych licznych kaplic prawie nigdy nie jesteśmy razem w niedziele i święta; zwykle jeden z nas albo w Rio Vermelho albo w jednej z kaplic. Odczuwamy to więcej w uroczyste święta, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, nie możemy się bowiem podzielić ani opłatkiem ani święconem jajem. Lecz mała to stosunkowo ofiara, jaką Bogu ze względu na duchowne korzyści naszego ludu składamy z własnej przyjemności i zachowania zwyczajów narodowych.

Do parafii massarandubskiej należy, prócz Polaków, kilka rodzin niemieckich, około 40 brazylijskich i 6 włoskich. Prawie wszyscy tutejsi Polacy przybyli w owej pamiętnej „gorączce emigracyjnej“ z 1890-91 roku. Nacierpieli się wiele w barakach, zanim im rząd powymierzał działy i na nich osadził. Bardzo wielu z nich poumierało, zwłaszcza dzieci.

Również przykre i trudne mieli początki, nim się zagospodarzyli, a niektórzy, mniej pracowici i staranni, dotąd zostają w długach u wendziarzy (sklepikarzy). Opowiada mi jeden z majętnych dziś gospodarzy, że w tych przykrych czasach „mieszkał w palmitach, spał na palmitach, jadł palmity“... Palmita, należąca do rodziny palm, jest drzewem włóknistem, łupliwem, z którego można drążki, patyki połupać, wbić w ziemię i gałęziami, drugiemi palmitami nakryć, — i gotowe najprymitywniejsze mieszkanie tutejszych ludzi najuboższych (zwykle Brazylian). Suche palmity, ich wachlarzowate gałęzie bierze się i na posłanie, a pączki palmit gotuje uboga ludność i spożywa je z apetytem. Przysmarzone i dobrze przygotowane mają mieć smak grzybów europejskich, których tu w Brazylii nie mamy. Nędzne było więc mieszkanie, posłanie, a najnędzniejsze i niezdrowe pożywienie, zapewne i to wywołało wiele chorób i śmierci, zwłaszcza między dziećmi. Dziś jednak mają się tutejsi Polacy, ogólnie mówiąc, nieźle, a mieliby się znacznie lepiej, gdyby więcej pracowali i staranniej pole uprawiali. Niemal wszyscy pochodzą z zaboru rosyjskiego, przeważnie z okolic i miasta Łodzi; z zaboru pruskiego niewielu; z Galicyi żadnej rodziny niema w tutejszej parafii. Rząd rosyjski i na nich wycisnął swe piętno, co się przebija w ich charakterze podejrzliwym, skłonnym do posądzań i kombinacyi rozmaitych; lubią też radzić i politykować, delegacye i petycye posyłać... Być może, że właśnie tej okoliczności zawdzięczają, iż doczekali się założenia polskiej parafii dla tutejszej kolonii. Nie można też ostatecznie dociec, kto ma słuszność w długoletnim sporze, jaki prowadzili z obsługującym ich O Franciszkaninem. Zdaje się, że i jedna i druga strona po części zawiniła. Polacy uparci, zawsze chcieli na swojem postawić, a ich pasterz nie umiał zyskać ich zaufania, był nie dosyć wyrozumiałym, słuchał często postronnych doniesień. Powstała z tego zawzięta walka, która niekiedy i w gazetach polskich odgłos znalazła. Dziś, dzięki Bogu, wszystko już ustało i z każdym dniem więcej zaciera się, za naszym wpływem, różnica mię-

dzy „Królewiakami“ a „Prusakami“. Przecież to lud jednej matki, Ojczyzny, podzielonej tylko słupami granicznymi.

Czysto niemieckich rodzin mamy tylko cztery; wprawdzie jest ich więcej, ale ci wiary nie mają, do kościoła też nigdy nie przychodzą. Ojciec Franciszek Terrschert, nasz poprzednik, gdy do tutejszej kaplicy dojeżdżał, miał zawsze naukę w trzech językach, po kilka minut: po polsku, po niemiecku i po brazylijsku. Ale skutek podobno ten, że z nauki nikt nie korzystał, bo krótko mówił i jakoś niezrozumiale, jak się Polacy wyrażają, „nie miał składu“. Ale dla nas był ten niepożądany skutęk, że Niemcy tutejsi, choć ich niewielu, bo inni z rodzin mieszanych, umieją i rozumieją po polsku, to przecież domagają się niemieckiego kazania jak najczęściej, możeby go chcieli w każdą niedzielę. Nie zadowoliły ich tłómaczenia, że to polska parafia, dla Polaków założona. Na pierwszem zgromadzeniu przyrzekłem im w każdą niedzielę i święto Ewangelię po niemiecku odczytać. Później znów ponowili starania i prośby, przyrzekłem im więc, że tyle mieć będą kazań niemieckich, jak za O. Franciszka, to znaczy, że on przyjeżdżał zwykle raz na dwa miesiące, to i my raz na dwa miesiące kazania po niemiecku im prawić będziemy. Tem się zadowolili. Zresztą spowiadamy ich po niemiecku, dzieci przygotowujemy do pierwszej spowiedzi i Komunii św. w tymże języku. Jednakże chcieliby jeszcze więcej, nieraz o to się przymawiają. Tak n. p. pewna kobieta, która umie nawet nieźle po polsku, płacąc roczną pensyę, powiada mi: „Wir haben keine deutsche Andacht“... Chodziło jej o „niemieckie nabożeństwo“, zapewne chciała, żebym śpiewy i pieśni zaprowadził w języku niemieckim. Udałem, że niewiem, o co chodzi; a wskazałem, co dla tych kilku rodzin niemieckich robimy. Dostała przytem taką odprawę, że chyba nigdy już ze swym projektem nie wystąpi.

Każde niemieckie kazanie zapowiadamy przynajmniej tydzień naprzód, żeby się Niemcy liczniej i z dalszych okolic do kaplicy zgromadzili. Podsuwali nam już nieraz, niby dla ułatwienia, żebyśmy stałą niedzielę w miesiącu wyznaczyli,

będą wtedy wszyscy dokładnie o tem pamiętać. Nie zgadzamy się przecież na podobny projekt, bo łatwo weszłoby to w zwyczaj, któregoby już w przyszłości znieść nie można. Zresztą i te kazania niemieckie stanowią pewien „onus“, który się może kiedyś stać przykrym, czy dla tutejszych księży, czy dla przełożonych, którzy przy zmianie XX. Konfratrów z tym szczegółem liczyć się będą musieli. Raczej go przeto ograniczać, znosić należy, aniżeli popierać.

Znaczną część rodzin naszej parafii stanowią Brazylianie. Oni zawsze potulni, spokojni, nie skarżą się ani domagają brazylijskich kazań, choć ich cały rok nie słyszeli. Za to też nie płacą ani na utrzymanie księży ani na budowę plebanii ani na kościół; myślećby można, że to nie katolicy. Niektórzy z blizka, i to bardzo rzadko, do kościoła przychodzą. Większa ich część mieszka gdzieś przy rzeczkach, gdzie łowią ryby, a po lasach strzelają ptaszki; to główne ich zajęcie. Mało zresztą uprawiają ziemię; mają ogólny wstręt do pracy, bo wiele w ich żyłach płynie krwi dawnych portugalskich żydów; za to do handlu mają pociąg i spryt. Wskutek braku zamiłowania do pracy lud brazylijski jest ubogi, za bogatego uchodzi już ten, który ma krowę lub konia. Niema też między nimi ani szkoły ani kościoła, na lichą kapliczkę z desek zdobyć się nie mogą. We większych parafiach, gdzie więcej pracują w polu i gdzie się we większej liczbie znajdują, mają się znacznie lepiej.

Pod względem religijnym lud to bardzo zaniedbany; umie zaledwie „Ojcze nasz“ „Zdrowaś“, nie wszyscy już „Wierzę w Boga“ ani przykazań boskich. Słusznie przeto ks. Stawianowski robi, że na swych ekskursyach uczy starych i młodych pacierza, katechizmu. Do spowiedzi nie mają zwyczaju chodzić, na nalegania odpowiadają: „tenho vergonha“ (czytaj: teńju wergońja), t. z. żenuję się!... A zresztą i tak nie mają się z czego spowiadać, choć po kilka lat nie byli u spowiedzi. Co jednak dziwnem nam się wydaje, mają się za dobrych katolików; często powtarza każdy o sobie, że jest

„bom catholico“.. Nie wiele więc możemy u nich zdziałać, sądząc według ludzkiego zapatrywania.

I u nich są partye, dwa przeciwne obozy. Snać począwszy od Apostoła narodów, który Koryntyan musiał ganić za ich scysye i stronnictwa (I. Cor. 1), znajdujemy podobne podziały i partye w Brazylii niemal w każdej kolonii. Tu lud ma więcej swobody i wolności, dlatego też z nich wielce korzysta, nadużywa; stąd partye, swawola, upór... Widzimy ten objaw nie tylko u Polaków, ale u Włochów, Niemców, protestantów, którzy w tutejszej okolicy podzielili się na dwa wielkie obozy: jedni należą do ewangelików, a drudzy do protestantów w ścisłem znaczeniu. Zapewne jedni, ani drudzy, zwłaszcza lud, nie wiedzą, na czem główna różnica w ich wyznaniu polega. Sprowadza przecież każda partya od czasu do czasu swego pastora z Itwupawy (z pod Blumenau), który im nabożeństwo odprawia. Na własne kirchy, ani na utrzymanie własnego pastora w Massarundubie nie mogła się żadna partya zdobyć, dzięki właśnie wzajemnej walce, przez którą się moralnie na znaczeniu osłabiają. Polacy przecież ich wyprzedzili, gdyż posiadają nawet dwóch księży i mają swój kościółek, a już zbierają fundusze na budowę wielkiego kościoła.

Ubodzy, nieoświeceni Brazylianie nie mogli więc być gorszymi, a raczej lepszymi od drugich; podzielili się także na dwa stronnictwa. Kiedy ksiądz wyjeżdża z nabożeństwem do jednych, drudzy nie przychodzą, gdy zaś bywa u ostatnich, pierwsi trzymają się zdala. Nic nie pomogą perswacye i przedstawienia, mają jakieś powody, czy wzajemne urazy, trudno dociec, które stoją im na przeszkodzie do zgody.

Nabożeństwo, msze, spowiedzie, odbywa się u Brazylian w prywatnem mieszkaniu. Wielką mamy przeto niewygodę, że wszystko musi ksiądz, za każdym razem, ze sobą zabierać, począwszy od kielicha, mszału, olejów św. etc. Łatwo przy tem coś zapomnieć, a jak bardzo się rzeczy niszczy przez składanie, pakowanie, nie trudno się domyślić. Przydałby się nam więc bardzo ołtarzyk, portatyl, w formie

kuferka, który zawiera już wszystkie potrzebne przybory. Lecz na razie nie możemy się na to zdobyć.

W obrębie naszej parafii, w Guarany-Alto (wysokie) mamy 6 rodzin włoskich, którzy się znajdują w pobliżu sąsiedniej, także nowo utworzonej parafii włosko-niemieckiej, w Luiz-Alves. Dla zaznaczenia, że o nich wiemy i pamiętamy, był u nich ks. Stawianowski z kolędą. Porozumiewamy się z nimi w języku portugalskim, który Włosi łatwo rozumieją. Z chrztami i ślubami przychodzą do nas, czego zacny ks. proboszcz z Luiz-Alves sumiennie przestrzega.

W kilka dni po naszym przyjeździe przybył pewien Włoch poczciwy ze swemi dziećmi oglądać polskich księży; taką między nimi obudziliśmy ciekawość i zainteresowanie się.

Dodatkowo wspomnę, że między Włochami w sąsiedniej parafii a Niemcami są partye i nieporozumienia w sprawie budowy plebanii i miejsca zamieszkania ks. proboszcza. Więc jeszcze nie najgorsi Polacy w Brazylii, mają przynajmniej naśladowców!

Lecz wróćmy do naszej kaplicy parafialnej w Guarany-mirim. Żeby lud więcej skupić, łatwiej do Boga, do nieba doprowadzić, założyliśmy dwa stowarzyszenia: Żywego różańca dla wszystkich stanów i Apostolstwo modlitwy. Wogóle szerzymy cześć Najśw. Serca Jezusowego, bo i pod tem wezwaniem zbudowano tutejszą kaplicę; w ołtarzu głównym jest obraz Boskiego Serca. Uroczystość Najśw. Serca Jezusowego obchodzimy bardzo okazale, przez trzy dni: piątek, sobotę, niedzielę. Przez cały zaś tydzień poprzedzający (przez Oktawę Bożego Ciała) odprawiamy nowennę z nauką do Najśw. Serca Jezusowego, aby w ten sposób kaplica tutejsza zyskała odpust toties-quoties, stosownie do indultu Piusa X. z 1908 roku. Szerzymy również cześć Niepokalanie Poczętej Dziewicy od Cudownego Medalika. Jej obraz umieściliśmy w bocznym ołtarzyku, który niedawno sprawiliśmy. Dzieciom w dniu pierwszej Komunii św. wkładamy cudowne medaliki i oddajemy pod opiekę Niepokalanej Panny Maryi.

Również w kaplicach i na ekskursyach misyjnych do sąsiednich polskich kolonii rozszerzamy cześć Najśw. Panny od Cudownego Medalika, rozdajemy medaliki. Różaniec także niemal każdy nasz parafianin posiada.

I skromna kapliczka nasza się zmieniła; wiele do niej przybyło. Wypiszę niektóre ważniejsze rzeczy z inwentarza kościelnego, wraz z ceną, za jaką je sprawiono. Mianowicie: ołtarzyk boczny Najśw. Panny Maryi (za 80 milr.), ambonę (36), chrzcielnicę (26), feretron (40), drewniane lichtarze na ołtarz (12), 4 chorągwie (30), dywan (48), puszkę (40), monstrancyę (180), lampę wieczną (50), baldachim (100), kapy: białą (105) i fioletową (100), które robiły Siostry z Abranches; kapy: czarną (30). czerwoną (40) i zieloną (40) zrobiono u nas w Guarany; welon tiulowy (20); dla zakrystyi sprawiono wielką, wygodną komodę (40), a nad nią szufladki na bieliznę kielichową (20). W ścianach kaplicy umieściliśmy okna (4 za 80 milr) w miejsce jednoskrzydłowych, ordynarnych okiennic; w dzwonicy przybyła nam sygnaturka (29). Ogółem wydaliśmy na powyższe i mniejsze rzeczy zeszłego roku przeszło 1100 milrejsów czyli około 2000 koron. W dodatku spłaciłem i dług, jaki zastałem na tutejszej kaplicy (do 500 milr.=1000 koron).

Nasunie się mimowoli niejednemu pytanie, a skąd na to tyle pieniędzy, tem więcej, że nasi parafianie nie są majętni?.. Radzimy sobie, jak możemy, a Pan Bóg dopomaga; sprawdza się na nas przysłowie: „Bóg radzi o swojej czeladzi“. Zeszłego roku urządziliśmy na długi i potrzeby naszej kaplicy w czasie tutejszego odpustu Serca Jezusowego loteryę fantową i licytacyę, która przyniosła nam czystego dochodu 360 milrejsów, czyli 600 koron. Wiele rzeczy sprawili nam majętniejsi parafianie, korzystałem i z innych darów i ofiar.

Drugi może nam kto zarzut zrobić: „Czemu taki pospiech, sprawiać powoli, pójdzie lżej, a można droższe piękniejsze rzeczy kupić...“ Tak może myśleć czy mówić każdy, kto nie zna tutejszych parafian i stosunków. Lud nasz pochodzi



Kaplica i dom XX. Misyonarzy w Guarany-mirim (Massaranduba).
1. Kaplica. — 2. Zakrystya. — 3. Dom księży.

z Królestwa, nie lubi na kościół dawać, nawet na zamawianie mszy św. niema pieniędzy, zaledwie zapłaci roczną pensyę na utrzymanie księży 5 milr., a myśli, że dał, co mógł. Trzeba było więc wielkiej zachęty, przedstawiania, przemawialiśmy kilka razy ogniście do serca, do dumy narodowej, przypominając liczne fundacye ojców naszych jakoteż i rodaków w kraju, nim serca ich zmiękczyliśmy i zagrzaliśmy. Kowal zaś kuje żelazo, gdy czerwono-gorące, tak mówi przysłowie. Tak my z nimi — i dawali ofiary. Ofiarą poszczególnych rodzin sprawiliśmy: feretron (40 milr.), lampę wieczną (50), monstrancyę (180), baldachim (100), kapę i mniejsze rzeczy.

Naturalnie używaliśmy różnych sposobów, żeby chwałę Bożą zwiększyć, podobnie jak rybak, aby jak najwięcej ryb nałowić. Korzystaliśmy i ze słabostek ludzkich: odczytywaliśmy publicznie ofiary, dary, co próżności schlebiając innych zachęca. Najpotrzebniejszą dla nas była monstrancya, której nam nawet pożyczyć nie chciano. Jak ją sprawić? Skąd wziąć na nią pieniędzy? Wprawdzie księża przyjeżdżając zeszłego roku z Europy z sobą ją przywieźli, za co im dzięki stokrotne: wielką, piękną; byłem w kłopocie, jak ją zapłacić. Dochodziły nas pogłoski, że trzy pokrewne rodziny się na nią składają.. Tymczasem przynosi mi jedna osoba odrazu 100 milr. a później daje resztę 80, jako ofiarę na monstracyę. Przyznała się nawet potem, że pieniędzy nie miała, ale pożyczyła, chciała inne osoby uprzedzić... Pocieszający to dla nas objaw. Lud cieszy się, że coraz więcej przybywa; dawniej też płacili, prawie nic do kaplicy nie przybyło, a zostały jeszcze długi.

Kaplica za mała na naszą parafię, trzebaby ją powiększyć, ale to pociągnęłoby nowe, znaczne wydatki; lepiej te pieniądze zachować na fundusz budowy kościoła parafialnego, tem więcej, że ona zaledwie kilka lat postoi. Poprzestaniemy na tem, że chórek znacznie powiększymy, co nie będzie wielkiego wymagało nakładu.

* * *

II. Druga nasza parafia polska w Rio Vermelho, odległa 82 km., zadaje nam również wiele pracy i starania,

zwłaszcza obecnie z powodu budowy nowego kościoła parafialnego. Należy do niej kilka linii, czyli dróg. Polacy tutejsi nazywają je z niemieckiego „sztrasami“... Według relatorio parochial z 1912 roku, przedstawia się nam liczba rodzin polskich, na poszczególnych ulicach, jak to w czasie kolędy sprawdziłem, w następujący sposób:

Lp.	Kolonia lub ulica	Rodziny	Liczba dusz	Szkoła polska	Kaplica	Uwagi
1	Rio Vermelho (Rzeka Czerwona) (spolszczono na Wermel)	10	50	jest	jest	Z ulicy Zachodniej i Bismarka jako i z bliższej części ul. Humb., dzieci chodzą do szkoły na Wermel.
2	ul. Zachodnia .	12	65	—	—	
3	ul. Bismarka .	25	158	—	—	
4	ul. Humboldta .	56	300	jest na 16 km.	—	
5	Rio Natal . . (Rzeka Bożego Narodz.)	22	128	—	—	
6	Doły lub Chiny	12	80	—	—	
7	Kamerskie . .	16	85	—	—	
	Razem	153	866			

Jak z powyższego zestawienia się pokazuje, jest to parafia znacznie mniejsza; stanowi prawie połowę parafii massarundubskiej, dla tego też nie mogłaby sama dostatecznie polskich księży utrzymać. Kilka kolonii polskich należy do sąsiedniej niemieckiej parafii w Sao Bento, które my zazwyczaj dwa razy w roku odwiedzamy, aby Polaków spowiedzi wysłuchać i bodaj wtedy głosić słowo Boże w ojczystym języku, czego tak bardzo pragną.

Rio Vermelho tworzy miasteczko (Stadtplatz); ma widoki wielkiego rozwoju na przyszłość z powodu kolei, która prowadzi z Sao Francisco do Rio Negro i Kurytyby. O trzy kilometry od miasteczka, na ulicy Zachodniej jest przystanek kolejowy.

Parafia tutejsza składa się prawie wyłącznie z Polaków; wszystkich rodzin niemieckich będzie zaledwie 4-5; mieszkają w miasteczku, lecz o wiarę, Boga, kościół, wcale nie dbają. Żyją bez Boga, do spowiedzi i Komunii św. nie chodzą wcale; nie biorą nawet ślubu kościelnego, cywilnym się zadowalają; tylko jeszcze dzieci do chrztu przynoszą. Ksiądz katolicki, polski czy niemiecki, nie ma do nich wcale przystępu, dlatego też nic z nimi zrobić nie można.

Polacy mieszkający na ulicy, przezwanej przez Niemców ulicą Bismarka (Bismarckstrasse), mają w górnej części tej ulicy lichą, czarną, torfiastą ziemię. Szczególniejszym, a uderzającym objawem jest, że nie mogą na niej krów, wogóle żadnego bydła rogatego chować. Pierwszy rok krowy się dobrze pasą, lecz potem poczynają marnieć, nędznieć i giną. Jeśli się je da na inne kolonie, przychodzą zwolna do siebie. Szczegół to bardzo ważny w gospodarstwie, bez mleka, masła, żadna kolonia nie może długo się obejść. Dlatego też opuszczają górną część tej ulicy Polacy, zostawiając mieszkania, chlewy, pole już przez pewien czas uprawiane rządowi, do dalszej dyspozycyi. Przykre sprawia to wrażenie, gdy się w przejeździe widzi gotowe domy, stojące pustkami, bez właściciela, bez mieszkańców, bez wszelkiego życia.

Największą i najdłuższą linią jest ulica Humboldta (Humboldtstrasse), bo ma cztery mile długości (32 klm.) a ma na swej przestrzeni wszelkie odcienie tutejszego klimatu: umiarkowany, jak w Paranie, zwrotnikowy i podzwrotnikowy, jak w Guarany-mirim. Ziemia jest górzysta, kamienista, ale urodzajna. Linia ta prowadzi wśród gór (Serra do Mar) nad przepaściami do miasteczka Hanzy. Obecnie wije się między temi górami, zwanemi krótko z brazylijskiego „Serra“, kolej, którą w kwietniu b. r. otwarto. Na 16-tym kilometrze otworzono przed kilku miesiącami szkółkę polską; życzliwy nam rząd brazylijski z Sao Bento, z którym Polacy się łączą przeciw Niemcom, daje na nią miesięcznie 15 milr. subwencyi, podobnie jak na szkołę w Rio Vermelho.

W pobliżu ulicy Humboldta znajduje się osobna „tyfa“ [1]), kolonia Rio Natal, przezwana od rzeczki tejże nazwy. Ponieważ leży w kotlinie między wysokiemi górami, gdzie tylko przeważnie słońce ma dostęp, rzadziej wiatry, dla tego klimat jest tu gorący, podobnie jak u nas w Guarany-mirim.

Także w pobliżu tej ulicy Humboldta, bliżej już Hanzy, jest mała polska kolonia zwana przez lud „Chinami“ lub „Dołami“. Urzędowa nazwa wcale nam nie znana. Przezwano ją zapewne dla tego w ten sposób, aby wyrazić miejscowość i przykre, niewygodne życie, jakie tam koloniści prowadzą. Niema w niej wcale drogi, nędzna ścieżyna prowadzi wśród dołów i przepaści; klimat w dołach gorący, nieznośny, na górach zaś bywają często wiatry i przeciągi. Ludzie nie długo tu mogą wytrzymać; dzieci dostają choroby, blednicy, od upałów, podobnie jak w Rio Natal.

Kamerskie (Kammerland), to najnowsza linia, która się od kilku lat dopiero tworzy, leży nad drogą prowadzącą do brazylijskiego miasteczka Campo Alegre (Pole wesołe). Właściwie jest ona już poza granicami parafii wermelskiej, należy do S. Bento, lecz oni się zaliczają do naszej parafii, i my ich za „swoich“ uważamy, bo gdy wymierzano granicę tutejszych parafii, nikt o tej linii nie myślał, a tem mniej niktby Polaków w pobliżu polskiej parafii i polskiego kościoła nie zaliczył do 14 km. odległej niemieckiej parafii w S. Bento.

Polacy tutejszej kolonii przybyli do Brazylii również w pamiętnym 1891 roku, w owej gorączce emigracyjnej, znosili więc podobnież trudne, przykre początki.

Jedną z pierwszych czynności naszego ludu w Rio Vermelho było wystawienie choćby małej skromnej kapliczki, aby nie byli zależnymi od sąsiedniej niemieckiej parafii w S. Bento. W kilku dniach wystawiło 14 polskich rodzin kapliczkę, która powiększana i poprawiana dotychczas istnieje. Od samego początku, gdy już mieli własną kapliczkę, dojeżdżał do nich kilka razy (zwykle 4 razy) w roku ksiądz niemiecki, Karol Bürgershausen, Joinville. Wtedy wszyscy Polacy cieszyli się bardzo, świątkowali, jakby we wielką uro-

czystość, chodzili do kaplicy, spowiadali się po polsku, choć ich niemiecki ksiądz prawie nie rozumiał; pewna część z zaboru pruskiego mogła lepiej korzystać z jego dojazdów, bo coś umiała po niemiecku. Obsługiwał ich ten zacny kapłan około 10 lat. Pamięć o nim dotąd żyje między naszym ludem; chwalą go, nazywają „dobrym“ niemieckim księdzem, bo im dobrze doradzał, lubo sam Niemiec, radził nie łączyć się z Niemcami w S. Bento, lecz trzymać się własnej, polskiej kaplicy na Wermelu, a dostaną kiedyś polskich księży. Jego przewidywania się spełniły. Polacy mieli już dwukrotnie, stale, polskich księży. Przez dwa lata obsługiwał ich niejaki ks. Osowski, którego potem usunięto; podobno już nie żyje. Następnie przeszło dwa lata (1902—4) ks. Cezary Wyszyński, który się przeniósł do Ameryki północnej na stały pobyt.

Odtąd zostawali tutejsi Polacy bez stałej opieki duchownej. Nie chcieli się przyłączyć do sąsiedniej, niemieckiej parafii w S. Bento, choć do niej mieli tylko 14 kilometrów; obawiali się słusznie zniemczenia i wynarodowienia. Na ich liczne prośby zezwolił ks. biskup na dojazdy naszych Konfratrów z Luceny, którzy z małą przerwą (1909) oddawali im posługę duchowną aż do naszego przyjazdu (1911). Zapewne obowiązki parafialne na Lucenie, przykra, daleka droga, wynosząca przeszło 130 km. nie dozwalała im na częste ekskursye na Wermel. Jednakże Polacy mieli się lepiej, niż w początkach za czasów niemieckiego ks. Bürgershausena, bo nasi Konfratrzy oddawali im w ojczystym języku posługi duchowne i znacznie dłużej u nich bawili.

Od naszego przyjazdu mają się pod względem duchownym jeszcze lepiej, gdyż jesteśmy przynajmniej raz na miesiąc u nich z nabożeństwem, a bawimy cały tydzień, to znaczy, obydwie niedziele włącznie. Mają również stale nabożeństwa na wielkie uroczystości, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, choć nas te ekskursye, z powodu dalekiej (80 km.) a lichej drogi, wiele kosztują materyalnie, a w dodatku zdrowia i czasu (dwa dni drogi). Od miesiąca mamy już przedłużoną kolej z Hanzy do Wermelu; najgorsza

przecież część drogi z Guarany do Bannanal, stacyi kolejowej, czeka na poprawę.

Niemal wszystkie rodziny parafii w Rio Vermelho są z zaboru pruskiego, niewiele pochodzi z Galicyi. Można to z mowy poznać, przyzwyczaili się do niektórych niemieckich wyrażeń, nazywają n. p. wszystkie linie czy ulice z niemiecka „sztrasami". Mówią West-sztrasa, Humbolt-sztrasa itp. Bardzo nas to, zwłaszcza początkowo, raziło i rozśmieszało; zwracaliśmy im na tę niewłaściwość uwagę tak, że wielu już się z tej naleciałości poprawiło. Niekiedy się zapomną, wymówią „sztrasa", ale zaraz się poprawiają, dodają: droga lub ulica; wygląda to jeszcze komiczniej.

Lud tutejszy jest szczery, otwarty, do wiary świętej przywiązany; nie szczędzi ofiary i grosza na budowę kościoła, którego koszta wynoszą już obecnie około 8000 milrejsów (14000 koron). Pamiętajmy, że tylko 130 rodzin polskich do tej parafii należy. Z loteryi fantowej i licytacyi, jaką w listopadzie zeszłego roku na budowę kościoła urządziliśmy, zebraliśmy gotówki przeszło 800 milrejsów (1.400 koron).

Nie pozbyli się przecież i tutejsi Polacy swej głównej wady narodowej. Kłótnie, sprzeczki, partye i u nich się znajdują.

Przy budowie kolei mają już od trzech lat dobry zarobek, zarabiają dziennie po 3, 4, a nawet 5 lub 6 milrejsów, dlatego też więcej mogą na budowę kościoła odłożyć.

O ile roboty przy kolei dostarczają dobrego zarobku tutejszej polskiej ludności i materyalnie ją podnoszą, o tyle źle wpływają, zwłaszcza na młodzież, na jej życie moralne. Częste zabawy, muzyki i pijatyki, a równocześnie bójki, coraz częściej się powtarzają. Od obcych robotników kolejowych przyzwyczaili się używać w takich wypadkach nawet i rewolweru. Ostro występujemy i gromimy te nadużycia. Zresztą budowa kolei już się skończyła, więc i mniej okazyi do złego.

Przy kościele prócz Apostolstwa Modlitwy, które już dawniej założono, zaprowadziliśmy Stowarzyszenie Żywego

Różańca dla wszystkich stanów. Jak zazwyczaj, kobiety i dziewczęta najliczniej się do tych stowarzyszeń garną. Bywają niekiedy wypadki, że siostra odmawia dziesiątek różańca za swego brata, który zajęty pracą nie ma czasu lub nie dba o to.

Do kościółka sprawiliśmy dwie kapy (czerwoną za 134 milr. 500 rejsów, i czarną za 92.800). Robiły je nasze Siostry z Mateusza (Parana). Staraniem X. Kominka sprawiono z Europy piękną figurę Najśw. Panny od Cudownego Medalika, którą w lutym b. r. odebraliśmy. Ma się ona znajdować we wielkim ołtarzu nowego kościoła, który pod tem wezwaniem będzie zbudowany.

Innych rzeczy dla kościoła na razie nie sprawiamy, bo nie byłoby ich gdzie pomieścić; zresztą chcemy najpierw budowę kościoła ukończyć. Mamy nadzieję w Bogu, że Opatrzność Boska nas nie opuści...

III. Opis niniejszy parafii naszych nie byłby zupełny i dokładny, gdybym nie wspomniał o tutejszych szkołach polskich, jak sobie radzić i jak biedować musimy.

Rządowych szkół brazylijskich jest wogóle jeszcze bardzo mało; znajdują się one przeważnie po miastach i miasteczkach. Po koloniach, gdzie przeważają emigranci, istnieją szkoły prywatne, różnej narodowości. Zresztą szkoły rządowe nie są wcale dla kolonistów pożądane, gdyż w nich muszą dzieci uczyć się obowiązkowo wszystkich przedmiotów po portugalsku; religii nie wolno wcale uczyć, są to bowiem szkoły bezwyznaniowe. Dlatego też każda narodowość, o ile się na to zdobyć może, zakłada dla swych dzieci prywatne szkoły i utrzymuje dla nich nauczyciela, z wielkim często nakładem i wśród rozmaitych trudności, przeszkód. Międy niemi górują dwie największe: rozległe kolonie, rozprószenie kolonistów, i wielki brak zawodowych nauczycieli. Środkiem na to byłoby: tworzyć mniejsze szkoły, a gęsto rozrzucone, lub rodzaj konwiktu, w którym dziecko znalazłoby utrzymanie. Na drugą

trudność najlepsza odpowiedź: wychować, wykształcić dobrych, katolickich nauczycieli ludowych, trzebaby zatem pomyśleć o odpowiedniej szkole czyli seminaryum nauczycielskiem.

Prywatne szkoły po koloniach, gdzie kościoła niema w pobliżu, są zazwyczaj i kaplicami, w których się w niedziele i święta lud zgromadza i chwali Boga, śpiewając Godzinki, litanie i różne pobożne pieśni lub odmawiając różaniec. Zresztą w naszym stanie, Św. Katarzyny, mamy tylko dwie polskie parafie, przy których księża polscy mieszkają, mianowicie: w części północnej stanu nasz dom w Guarany-mirim, a w południowej parafia w Cocal, którą zarządza ks. Franciszek Chyliński. Wobec tego takie szkoły-kaplice są prawdziwem dobrodziejstwem dla naszego ludu, aby mógł wytrwać w pobożności i przy wierze naszych Ojców.

Ale są one równocześnie i dobrodziejstwem, wygodą, dla księży wyjeżdżających z nabożeństwem, na ekskursyę. Tu bowiem może swobodnie katechizować dziatwę, sprawować sakramenta święte, chrzcić, słuchać spowiedzi, mszę św. odprawiać i głosić słowo Boże. Wogóle nie jest niczem krępowany, jak w mieszkaniach prywatnych; przyczem jest zazwyczaj więcej miejsca, większy porządek. Jeśli taka szkoła-kaplica już dłużej istnieje, ma zazwyczaj ornaty, nawet kielich, potrzebny do mszy św., i inne przybory, co dla księdza jest wielkiem ułatwieniem. My mamy w obrębie naszej parafii cztery wyżej opisane szkoły-kaplicy. Jak możemy dopomagamy kolonistom do utrzymania, względnie spłacenia długów, ciążących na takiej szkole.

Drugą wielką troską naszą jest stałe utrzymanie nauczyciela, któryby dziatwę polską uczył najpotrzebniejszych rzeczy: pisać, czytać, nieco rachunków. Musimy nieraz używać różnych sposobów i kombinacyi, żeby dopiąć swego celu.

Jeżeli są dwie osady, niedaleko od siebie odległe, obieramy dla nich jednego nauczyciela, który uczy w jednej rano, a w drugiej po południu. Od jednej i drugiej osady pobiera pensyę, stosunkowo nie wielką, w całości ma przecież przy-

zwoite utrzymanie. Tak n. p. kolonia Gurany-mirim, w której mieszkamy, i Massarunduba, mają szkoły oddalone od siebie 14 km., utrzymują obecnie jednego nauczyciela, któremu każda kolonia płaci, na nasze stosunki miesięcznie nie wiele, po 30 milr. czyli 50 koron, ma więc z obydwóch szkół miesięcznie 60 milr. (100 koron); nadto wolne mieszkanie przy szkole w Guarany-mirim, ogród i ziemię do własnego użytku. W dodatku sprawuje obowiązki kościelnego przy naszym kościółku, z czego ma także mały dochód.

Większe zachodzą trudności w mniejszych koloniach, w których mieszka 10-12 rodzin polskich. Tam inaczej sobie musimy radzić.

O utrzymaniu nauczyciela zawodowego nie może tu być mowy, gdyż z trudem przychodzi im już zbić z desek jakąś szkółkę i opłacić te koszta. Obieramy wtedy zazwyczaj jednego z kolonistów, który umie nieco lepiej czytać i pisać, na nauczyciela. On uczy dziatwę pod naszym dozorem i kierownictwem; dajemy mu różne wskazówki, katechizm, podręczniki. Niekiedy dojeżdżamy lub korzystamy z różnych sposobności, gdy szkoła daleko oddalona, aby dzieci przepytać, przypatrzeć się, jak nauczyciel uczy, i udzielić mu potrzebnych informacyi.

Niekiedy zamiast mężczyzn, uczy kobieta, jak obecnie w naszej kolonii; zależy to już więcej od wyboru kolonistów, do kogo mają zaufanie. Nie krępujemy ich, większość zazwyczaj rozstrzyga. Często jednakże i niezgoda powstaje między nimi: jedni chcą tego, drudzy owego; zwłaszcza wtedy pogodzić się nie mogą, gdy mają jakieś osobiste obrachunki, urazę lub niechęć do kandydata na nauczyciela.

W takiej szkółce, w której bywa 10 lub 12 dzieci, i nauczyciel-kolonista nie może codziennie po 4 godziny uczyć za 10 milr. (16 kor.) miesięcznej płacy; przy innej pracy zarobi na miesiąc przynajmniej trzy lub cztery razy więcej (30-40). Krzywdzić go więc nie można. Wtedy inną układamy kombinacyę: nauczyciel uczy dzieci trzy razy tygodniowo, co drugi dzień, po 4 godziny, albo też codziennie

po 2 godziny. Zostawiamy to zazwyczaj do woli i nauczycielowi i kolonistom. Jest to jedyny sposób, że i szkółkę za małą płacę można utrzymać; dzieci nauczą się przecież czytać i pisać; nauczyciel-kolonista może zaś swobotnie w polu pracować, jak dawniej, nie tylko popołudniu, lecz i zrana.

Zdawaćby się mogło, że taki gospodarz czy kolonista mało dzieci nauczy. Tymczasem rzecz ma się często wręcz przeciwnie; niekiedy więcej nauczy, niż zawodowy nauczyciel, który naukę uważa za rzecz dodatkową, zbywa ją, bo uczy z konieczności, a nie z poświęcenia i zamiłowania. Nauczyciel-kolonista bywa zazwyczaj sumienny, pilnuje szkoły, stara się w dzieci wpoić, co sam umie. Uczy także pacierza i katechizmu. Ksiądz i rodzice mogą być o szkołę i dzieci spokojni, o tyle przynajmniej, że dzieci nie popsuje, nie zgorszy, jak to niekiedy robią obcy, „inteligentni" nauczyciele, bardzo podejrzanej moralności.

Gdy się na wolne miejsca zgłaszają, żądamy od nich świadectw, zwłaszcza świadectwa moralności od miejscowego księdza proboszcza. Na takie żądanie nie dostajemy zazwyczaj już żadnej odpowiedzi. Podobnego nauczyciela mieli Polacy przed naszym przyjazdem w Massarundubie.

Niejaki Władysław Lossmann, liberał, człowiek bez wiary, którego nasi koloniści nie znali, ani się pytali o jakie świadectwa, zgodził się pod przybranem nazwiskiem „Wrzesińskiego" na nauczyciela w Massarundubie. Sama zmiana nazwiska już wiele daje każdemu do myślenia; snać ma coś na sumieniu, że przed władzami, przed policyą się ukrywa.

Rodzice zażądali od niego, żeby dzieci i katechizmu uczył, lud bowiem nasz, zwłaszcza po koloniach, jest dobry, posiada wiarę. Początkowo wymawiał się, że „tego wcale nie potrzeba": ostatecznie zgodził się, uczył, ale według swoich poglądów. Zauważyli to rodzice, którzy dzieci w domu dopytywali się, czego ich nauczyciel z religii uczył; snać musieli już mieć na niego pewne podejrzenia.

Coraz mu też duszniej było na tej kolonii, tem więcej, że wkrótce spodziewano się i przyjazdu polskich księży z Kra-

kowa; nie chciał zapewne mieć takiego nadzoru nad sobą w pobliżu, dlatego opuścił Massarandubę w podobny sposób, jak czynią zwykle oszuści. Kupił od pewnego kolonisty konia z siodłem, aby mógł dojeżdżać do sąsiedniej szkoły na Telegraf-Linii, ale za konia nie zapłacił; u wędziana zakupił piękne ubranie, za które także został dłużny; od kilku innych pożyczył po kilkanaście milrejsów tylko na czas krótki; wreszcie zachorował na nogę, musiał wyjechać do sąsiedniego miasteczka na kuracyę do szpitala, skąd wcale już nie wrócił...

Dowiedziano się niebawem, że skoro dojechał do stacyi kolejowej sprzedał konia z siodłem, bo już mu to było nie potrzebne. Pisał jeszcze później do jednego z kolonistów, że wróci i długi pooddawa, lecz nie podał swego adresu. Zapewne tak zrobił, żeby go do gazet nie podali i nie wdrożyli za nim poszukiwania. Któżby zresztą znalazł Wrzesińskiego, na którego karb te długi pozaciągał, kiedy on się nazywał Lossmann?...

To jeden z częstszych wypadków, jakie się tu w Brazylii zdarzają. Trzeba więc być bardzo ostrożnym i przezornym w przyjmowaniu obcych nauczycieli; wolimy przeto w razie potrzeby nauczyciela-kolonistę, naszego parafianina.

Niekiedy w wolniejszych chwilach, my musimy z konieczności na pewien czas spełniać obowiązki nauczyciela szkoły tutejszej. Zdarza się to wtedy, gdy nauczyciel nagle wyjedzie jak n. p. Lossmann-Wrzesiński, lub zerwie ugodę z kolonią, a niema na razie widoków na przyjęcie innego. Szkoda byłaby znaczna dla dzieci, któreby, będąc przez dłuższy czas pozbawione nauki, zapomniały tego, czego z takim mozołem i ofiarą materyalną rodziców się nauczyły. Taka właśnie znaczniejsza przerwa była zeszłego roku w szkole na Massarandubie, po wyjeździe Lossmanna, uczył w niej przez pewien czas trzy razy tygodniowo ks. Stawianowski, względnie ja, gdy go w domu nie było. Omnia ad maiorem Dei gloriam!...

W Brazylii niema przymusu szkolnego w szkołach rządowych, tem mniej w szkołach prywatnych, to też, mimo naszych starań i zachęcań, nie wszyscy rodzice posyłają swe dzieci do szkoły, zasłaniając się różnymi błahymi pozorami. Wtedy używamy stanowczości, przymusu, aby rodziców nakłonić, zmusić do utrzymywania i korzystania z dobrodziejstwa szkoły polskiej. Zagroziliśmy im, że tych dzieci nie będziemy przyjmować na przygotowanie do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej, które nie chodzą do szkoły. W kościele zaś ogłosiliśmy, że takim kawalerom i dziewczętom, co do szkoły nie chodziły i nie umieją czytać ani pisać, nie damy wcale ślubu. Naturalnie jest to tylko groźba, której w ostatecznym razie nie spełnilibyśmy. Dla nadania tem większego znaczenia naszemu ogłoszeniu, żądamy odtąd własnoręcznego podpisu nowożeńców w księdze zapowiedzi. Prudentia pastoralis radzi nam i podaje różne środki, których na korzyść naszego ludu używamy, stosownie do okoliczności i potrzeby.

Więcej w Brazylii nawet potrzeba Polakom oświaty, niż w Europie, a pierwszym środkiem do jej nabycia to umiejętność czytania i pisania. Bez niej, choć będzie ich wielu, choć na setki i tysiące ich liczyć będą, pozostaną przecież bez żadnego znaczenia i wpływu, stanowić będą „masę ciemną“... Tak n. p. nie mają w Brazylii prawa na posłów ci wszyscy, co nie umieją czytać i pisać, a to nawet w języku portugalskim (muszą przepisać pewną formułę i podpisać się). U Brazylian uchodzą za „współobywateli“ przedewszystkiem ci, którzy mają prawo głosowania, wyborcy, tak zwani „eleitores“. Im więcej jaka narodowość ma wyborców, tem więcej starają się politycy, posłowie, o zjednanie ich sobie. Naród taki ma wpływ na wybory, a w dalszym ciągu i na rządy.

Dla ułatwienia w nauczeniu się języka portugalskiego, poleciliśmy nauczycielowi, aby starsze dzieci, na wyższym stopniu nauki, uczył czytać i pisać po portugalsku. Zaprowadziliśmy dla starszych chłopaków wieczorny kurs uzupełniający z języka portugalskiego, aby mogli z niego korzystać

w stosunkach z Brazylianami i brać kiedyś udział w głosowaniu.

Zeszłego roku założyliśmy przy tutejszym kościółku w Guarany-mirim Towarzystwo Oświaty Ludowej, którego głównym celem jest szerzenie oświaty między naszym ludem przez rozpowszechnianie i czytanie dobrych książek i gazet. Pośredniczymy również w sprowadzaniu książek i podręczników dla naszych szkół z księgarni krajowych.

Staramy się, jak możemy i robimy, co potrafimy, aby polski lud nie tylko zachował wiarę świętą i według niej żył, lecz zajął też odpowiednie stanowisko, miał znaczenie między narodami zamieszkującymi kraje brazylijskie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Józef Góral.

Z północnej Ameryki.

Misya w Buffalo. N. Y. [1]. (Ciąg dalszy).

Za takiego to proboszcza i w takiej parafii rozpoczęliśmy misyę dnia 1 grudnia. Na początek jak zwykle poszły niewiasty i dziewczęta. Wnet okazało się, że niewiast będzie spora liczba; wszystkie bowiem ławki w kościele były zapełnione, a wiele ich jeszcze musiało stać lub na sposób starokrajski siedzieć na ziemi, bo innej rady nie było. Kobiety uczęszczały wiernie do kościoła, w czem dawał im dobry przykład miejscowy proboszcz. Regularnie bowiem już o godzinie 5 rano przychodził do kościoła na modlitwy poranne, słuchał nauki Misyonarza, a w czasie mszy św. razem z ludem śpiewał Anioł Pański i Godzinki. Po podniesieniu zwykle rozdawał Komunię, w czem dopomagał Misyonarzowi i przyczynił się do tego, że nabożeństwo nie przeciągało się ponad oznaczony czas. Tak wytrwał aż do końca misyi i ani jednego dnia nie opuścił. Kobiet do spowiedzi przystąpiło przeszło 1500, nie licząc dzieci.

Drugi tydzień przeznaczony dla mężczyzn i kawalerów. Zjawili się w ogromnej liczbie; zdawało się, że mury kościoła bardzo obszernego rozsadzą. Wszystkie ganki, poboczne kaplice, zakrystya, presbyteryum, były przepełnione. Co chwila ksiądz proboszcz powtarzał: „Skąd się to tak nagle wszystko wzięło?“ Patrząc tak na tę rzeszę z ambony nie chciało się wierzyć, że się jest w Ameryce, gdzie nikt nie chce przyjść do kościoła, jeśli nie ma gdzie wygodnie

---

[1]) Por. Roczniki 1913, 2.

usiąść. Wielu z nich nie tylko rano, ale i wieczorem przychodziło z pelikami (naczynie z posiłkiem) do kościoła, aby choć połowę kazania wysłuchać, a potem prędko spieszyć do fabryki na całą noc. To też jak we wtorek przystąpili do spowiedzi, oblegali konfesyonały przez wszystkie dnie od rana do nocy, a w nocy koło 12 prawie zawsze kilkudziesięciu musiało odchodzić nie wyspowiadanych, chociaż księży było nieraz dziesięciu, a nawet dwunastu.

Dziwna to rzecz i zagadka dla Amerykanów, a zwłaszcza dla Irlandczyków, że w naszych kościołach zawsze jest więcej mężczyzn niż niewiast. U nich bowiem jest przeciwnie w niedzielę, a zwłaszcza na misyach: niewiast pełno, a od mężczyzn prawie że pusto, chociaż mają pretensye, że każdy Irlandczyk wierniej chodzi do kościoła, niż Polacy. Da się to łatwo wytłumaczyć. Mężczyzn pomiędzy Polakami w Ameryce jest więcej niż niewiast wkutek tak zwanych wdowców słomianych i bortników, którzy często żony pozostawiali w kraju, a tu pracują. Po drugie, nasze Polki, obarczone o wiele liczniejszemi dziećmi niż Irlandki, nie mogą tak swobodnie uczęszczać do kościoła. U Irlandczyków jak wogóle u Amerykanów przyjmuje się coraz bardziej „Zweikindersystem“. W każdym prawie domu polskim jest małe dziecko, które trzeba pielęgnować i bawić, a do tego interesu polski mąż nie bardzo wprawny, a jeśli to robi wyjątkowo, to mimo najlepszych chęci, bardzo niezdarnie. U Amerykanów przeciwnie, mąż doskonale wyręcza żonę, bawi dziecko, wozi w wózeczku po ulicy i w parku jak niańka. Polska matka musi sama siedzieć w domu. Nieraz w czasie misyi, a w Buffalo przedewszystkiem zdarzały się wypadki w tym względzie bardzo kłopotliwe. Żona wraca z misyi wieczorem o godzinie 9 lub później w najlepszym usposobieniu z myślą, że będzie mężowi opowiadała, co słyszała w kościele i nawracała go na dobrą drogę, a tu słyszy zaraz na wstępie krzyk dziecka całego w nieporządku i wyrzuty męża, że za długo siedzi w kościele, bo on, choć pan domu, rady sobie dać nie może z maleństwem. Po takiem przywitaniu zapomina biedna

o całej misyi i kazaniu, o spowiedzi, a rozpoczyna się kłótnia. Szczęście, jeśli się na słowach skończy, ale było kilka wypadków w Buffalo, że poszło i gorzej. A casus belli wtóruje mniej lub więcej na sposób rozgrymaszonych amerykańskich bejbików (baby = dziecko). Oczywiście, że na drugi dzień żona nie ma ochoty do kościoła, dopiero na trzeci lub czwarty dzień znowu idzie do kościoła, ale z obawą w sercu, że znowu się tasama scena powtórzy.

Kilka razy w czasie wieczornego kazania na seryi żeńskiej widzieliśmy, jak mężczyźni ukradkiem wchodzili do kościoła, zamienili parę słów z proboszczem, który zawsze w tyle czuwał, a potem proboszcz sam przesuwał się po kościele i raz po raz wywoływał jakąś niewiastę na gwałt z ławki, aby czem prędzej szła do domu, bo mąż z dziećmi rady sobie dać nie może. Takie to nasze chłopy. Dobrze, jeżeli jeszcze w ten sposób rozwiąże kwestyę dziecka, ale bywało, że mąż sprzykrzywszy sobie urząd niańki, wyniósł się do karczmy, zostawiając dziecko na łaskę losu

Takie rzeczy psuły urok misyi w Buffalo, a niewiastom nie pozwalały uczęszczać tak regularnie na misyę. Była to wszakże misya jedna z najbardziej obfitujących w owoce, ale i w pracę; dosyć uciążliwa z powodu zimna, jakie wtenczas zapanowało. Mężczyzn przystąpiło do spowiedzi 2500. W ostatnim dniu misyi, t.j. 15 grudnia, jak zwykle rano na sumie uroczyste ofiarowanie całej parafii N. Maryi Pannie, po południu o godzinie 3 nieszpory, kazanie i przyjęcie do szkaplerzy i różańca, a o 8 wieczorem poświęcenie krzyża misyjnego i zakończenie.

Zwykle w czasie procesyi niosą krzyż misyjny najpoważniejsi parafianie. Tu tego zaszczytu dostąpił tylko jeden, najstarszy w latach, góral z pod Zakopanego, człowiek zacny, a choć już dawno, bo 30 lat osiadły w Ameryce, to jednak patrząc na niego, zdawało się nam, że co dopiero zszedł z wysokości Tatr i nagle przeniósł się na ziemię amerykańską. Dziwna bowiem pobożność i prostota połączona z powagą, omal że nie z surowością, malowała się na jego twa-

rzy i w całem jego obejściu. Synowie jego i córki chociaż tu wychowani, a nawet zięciowie drżą ze strachu, jak stary się rozgniewa, a biada gdyby nie chcieli go słuchać, na co tu w Ameryce tylu ojców zawsze się żali. Codzień bywał na misyi, łatwo go można było poznać po wysokim wzroście i białej jak śnieg głowie. Skoro usłyszał, że on ma być główną osobą w niesieniu krzyża misyjnego, nie posiadał się z radości i dumy. Zwykle w Ameryce niosący krzyż czynią różne ceremonie, w jakim przyjść ubraniu, gdzie który ma stać, którą ręką uchwycić — tak i tu niektórzy, co byli przeznaczeni do krzyża, jako pół pany, namyślali się, jak to poniosą, tem więcej, że krzyż był dość ciężki i duży.

Wtem zbliża się nasz stary, choć majętny, ale ubrany bardzo skromnie, w odzieniu na sposób starokrajskiej sukmany, do nikogo nic nie mówi, całuje tylko Misyonarza w rękę, potem krzyż, klęka, a następnie chwyta krzyż i zwala go sobie na ramię jak Chrystus Pan i tak wlecze za sobą. Inni zdumieni tem nie śmieli wyrzec ani słowa, bo strasznie poważne i surowe miał oblicze, szli tylko obok niego, a dwóch tylko dostąpiło zaszczytu Cyrenejczyków, jeden rzeźnik, a drugi szynkarz.

Cudowny to był widok, jak ten 70-letni starzec, wysoki i kościsty schylił pokornie głowę i na wzór Zbawiciela dźwigał sam krzyż w imieniu całej parafii podczas procesyi. I oto dziwna rzecz, ten starzec tak surowy bardzo miękkie miał serce. Kiedy procesya z krzyżem wróciła przed ołtarz, a Misyonarz rozpoczął święcenie, postawił krzyż, a klęcząc na obu kolanach, wzniósł rozpromienione oczy do góry na krzyż, jakby chciał powiedzieć: Zbawicielu drogi, przez całe życie dźwigałem na tułaczce ciężki krzyż pracy i znoju, nie ciężki był mi ten krzyż, bom go niósł za Tobą; i łzy potoczyły się po ślicznej twarzy starca, ale już nie surowej, lecz łagodnej i omal zachwyconej jakiemś dziwnem szczęściem. Ci, co blizko stali, płakali także.

Po zakończeniu misyi ks. Kołodziej i ks. Ściskalski zostali jeszcze do środy, aby głosić kazania na 40 godzinnem na-

bożeństwie a ks. Słupiński pojechał zaraz w nocy do Lorain O., gdzie miał kazania w czasie 40 godzinnego nabożeństwa. W środę po południu zjechali się wszyscy trzej w Dunkirk, gdzie już ks. Janowski i ks. Tyżyński w niedzielę rano 15 grudnia rozpoczęli misyę.

Dunkirk N. Y. — Jest to miasto leżące nad jeziorem Erie, prawie w połowie drogi między Erie a Buffalo, 40 mil oddalone. Miasto to, chociaż nie zbyt wielkie, liczące zaledwo 20.000 mieszkańców, jest jednak bardzo ruchliwe i przemysłowe. Leży bowiem na głównym trakcie, którym przechodzi kolej t. zw.: „Lake Shore“ z Bostonu do Chicago i kolej „Pensylvania“. Oba towarzystwa kolejowe, jak to często się napotyka w Ameryce, mają pomiędzy temi samemi miastami osobne trzy i w tem samem mieście 2 osobne dworce. Tak jest i w Dunkirk. Niegdyś Dunkirk było także miastem portowem, dziś straciło ono zupełnie pod tym względem znaczenie wskutek wzrostu Buffalo.

Polacy pracują przeważnie w fabrykach żelaznych, jak w olbrzymiej fabryce lokomotyw i odlewarni, ale znaczna część także jako rybacy na jeziorze. Wogóle polski robotnik jest tu dominujący. Polacy stoją na czele wszystkich związków robotniczych, nawet angielskich, jak „Unii“. Pierwsi emigranci przybyli tu za czasów kulturkampfu z W. Ks. Poznańskiego i oni tu jeszcze dziś przeważają, jak wogóle w całem pasie od Buffalo do Cleveland. Rodziny polskie zaliczają się tu do jednych z najstarszych, wielu nie pamięta już kraju ojczystego, jednakowoż trzymają się silnie kościoła polskiego i są gorącymi patryotami, w przeciwieństwie do innych osad mniejszych, gdzie Polacy o wiele łatwiej tracą narodowość niż po wielkich miastach, gdzie są w większej masie. Pierwsza parafia, pod wezwaniem św. Jacka, założona w r. 1873, jest najstarszą parafią polską w dyecezyi Buffalowskiej. Podówczas jeszcze w samem Buffallo nie było kościoła polskiego. Druga parafia polska w Dunkirk powstała w r. 1902 pod wezwaniem św. Jadwigi. Jest to jeszcze niezbyt duża parafia, 2000 dusz, złożona z młodszych ludzi i po większej części

niedawno przybyłych z kraju. Obecny proboszcz ks. Paweł Letocha, rodem z G. Ślązka, blizki krewny słynnego posła do parlamentu niemieckiego, zna dobrze Misyonarzy w Krakowie, bo go gościnnie przyjęto na Stradomiu, kiedy z Ameryki zwiedzał Kraków. Jest bardzo wielkim przyjacielem i propagatorem naszego Kolegium w Erie. Zaprosił nas na misye wszystkich pięciu, aby ta pierwsza misya w jego parafii wypadła jak najświetniej.

Nie mogąc wszakże wskutek przyczyn wyżej wspomnianych wszyscy rozpocząć misyi, pojechali księża Janowski i Tyżyński z Burlington N. J. (New Jersey) do Dunkirk i w niedzielę rano 15 grudnia rozpoczęli misyą, my zaś trzej przybyliśmy dopiero w środę. Tak więc była to pierwsza misya, na której wszyscy pięciu zebraliśmy się, a ostatnia w roku 1912. Przyjemnie i wesoło było nam, a robota szła łatwo. Przy słuchaniu spowiedzi uderzył nas ten fakt, że bardzo wielu dobrze nie dosłyszało. Przyczyna tego leży w tem, że zmuszeni są pracować wśród strasznego huku we fabrykach.

Zacny ks. proboszcz podejmował nas bardzo gościnnie, tak, że czuliśmy się jak w domu. Porządek misyi był takisam jak zwykle, misya udała się bardzo pięknie, ludzie uczęszczali bardzo sumiennie. Rażących występków niema wśród tutejszej ludności, z wyjątkiem pijaństwa. Ale zaraz na początku misyi wstrząsnęła wszystkimi pijakami śmierć jednego z największych pijaków, prawdziwie opatrznościowo zesłana. Pogrzeb jego odbył się we wtorek. Jakaś kobiecina, która widocznie dużo wycierpiała już z powodu pijaństwa męża, przyniosła 5 dolarów Misyonarzowi, aby wygłosił nad grobem kazanie o pijaństwie, co też odniosło ten skutek, że wielu zagorzałych pijaków uczęszczało na misyę. Do spowiedzi lud garnął się ochoczo, przychodzili także ze sąsiedniej parafii. Wyspowiadaliśmy 2000 ludzi. Nawet starcy 60 letni przychodzili i prosili o spowiedź generalną, mówiąc, że już tyle razy byli na misyi, ale nigdy nic podobnego nie słyszeli, co im Ojcowie teraz głoszą. Koniec misyi wypadł na dzień 22 grudnia, t. j. w czwartą niedzielę adwentu. Zepsuł nam

zakończenie trochę śnieg, który spadł tak nagle i w tak ogromniej ilości z soboty na niedzielę, że ludzie brodzili po pas w śniegu. Przytem szalała i burza na jeziorze i trzymała rybaków polskich na 11 łodziach rybackich prawie przez całą noc w ogromnem niebezpieczeństwie. Mimo tego na samo zakończenie przyszli wszyscy parafianie, a kościół był przepełniony i rano i wieczór. Zakończenie odbyło się o wiele uroczyściej niż zwykle, z powodu liczniejszego zastepu Misyonarzy. Procesya zaś z krzyżem tem bardziej była interesująca, że na czele jej postępowali najwięksi pijacy i najniewierniejsi synowie Kościoła, jakby powiedzieć same publikany. A to się tak stało. W tyle kościoła i w gankach poustawiali się wszyscy, co to nawet nie wiedzą czasem, gdzie kościół, stąd więc, kiedy przyjdą, miejsca w ławkach nikt im nie zrobi. Zapełnili więc miejsca, którędy ma procesya przechodzić. W czasie procesyi nie chcieli wszakże wynieść się z kościoła, aby więc nie zawadzali, marszałek kazał im maszerować na początku. Usłuchali, a niewiadomo, czy z wielkiej pobożności czy z jakiejś niezwyczajności, tak się przejęli swem pokazaniem wobec całego kościoła, że klękali, bili się w piersi i żegnali po kilkakroć przed każdym ołtarzem, czy on boczny czy główny. Na domiar ich pomieszania i konsternacyi na końcu nie mogli już wrócić do swych kryjówek pod chórem, ale w samem presbyteryum musieli się ustawić. Pocili się straszliwie i ocierali, a to zdaje się złośliwi parafianie tę psotę im zrobili.

Po zakończeniu na drugi dzień odprawiliśmy uroczyste nabożeństwo żałobne, a potem rozjechaliśmy na wszystkie strony, aby pomagać proboszczom w czasie świąt Bożego narodzenia: do Lackawanna N. Y., do Buffalo, do Cleveland, dwóch tylko pozostało w Dunkirk u ks. Letochy, aby pomagać na święta i uświetnić 10-cio letnią uroczystość założenia parafii, przypadającą w samo święto Bożego Narodzenia.

Tak rozprószyliśmy się znowu na końcu roku, choć dusza byłaby rada święta przepędzić razem.

Kończąc ten opis misyi w roku 1912 muszę mimowoli sięgnąć jeszcze w rok 1913.

Praca na tylu misyach, tak jednej jak drugiej partyi, była dostateczną, abyśmy teraz nabrali potrzebnego doświadczenia. Wskazanem i koniecznem wszakże było, aby to doświadczenie ująć w stałe reguły. To też kiedy na początku tego roku zjechaliśmy się razem w Kolegium, kiedy niektórzy z misyonarzy, jak to reguły misyonarskie polecają, odprawili po misyach rekolekcye, zasiedliśmy dnia jednego na naradę pod przewodnictwem ks. rektora Głogowskiego. Wynikiem tej rady było ułożenie stałych reguł, które, spisane, będą odtąd stałym przewodnikiem misyonarzy na misyach w Ameryce, gdzie stosunki wśród naszego ludu wymagają pewnych drobnych szczegółów i uzupełnień do ogólnych stałych reguł, jakie nam św. Wincenty, Zgromadzenie i Ojcowie nasi zostawili.

Ks. Marceli Słupiński.

Misye dawane przez księży Janowskiego i Tyżyńskiego [1]).

Syci wrażeń podczas poświęcenia kolegium naszego w Erie Pa., musieliśmy jąć się pracy, aby zapewnić byt tej nowej naszej placówce na ziemi amerykańskiej.

Najczcigodniejszy ks. Wizytator dotrzymał danej obietnicy, że da do kolegium kilku konfratrów, których zadaniem będzie dawać misyę w polskich parafiach. Pole zaiste wielkie dla Misyonarzy. Tem więcej, że dotąd zawsze był brak tychże. Wprawdzie OO. Jezuici od lat wielu objeżdżają kolonie polskie. Pomagali im również dwaj OO. Redemptoryści: OO. Grochowski i Jasiński. Niekiedy imali się tej pracy OO. świętego Ducha i OO. Franciszkanie. Ci ostatni czynili to więcej dorywczo.

Nasi konfratrzy od samego początku swego pobytu w Ameryce raz poraz zapuszczali się na to pole pracy, o ile

[1]) Por. zestawienie wszystkich misyj z r. 1912, w tegorocznym zeszycie 2 „Roczników“, str. 88.

oczywiście pozwalały im zajęcia i prace parafialne. Nie mieliśmy jednak stałej grupy misyjnej. Dopiero z otwarciem nowego domu w Erie, urzeczywistniły się pragnienia nasze, że wreszcie sprobujemy sił na tem polu pracy, która nam się z powołania należy.

Mając kilku konfratrów przeznaczonych wyłącznie do misyi, można będzie zaprowadzić pewien stały system. Jak ta myśl utworzenia grupy misyjnej była mądrą, pokazało się wkrótce. Duchowieństwo świeckie z wielkiem uznaniem odzywało się: „Dzięki Bogu, wreszcie będziemy mieli w Misyonarzach nową pomoc, na którą można będzie liczyć“.

Oczywiście wpierw trzeba było ogłosić księżom, że gotowi jesteśmy podjąć się pracy misyjnej. W tym celu rozesłaliśmy uwiadomienia wszystkim księżom proboszczom. Czekaliśmy z pewnym niepokojem, jaki mieć będzie ta nasza odezwa skutek. Bóg pobłogosławił dobrym zamiarom naszym. Powoli zaczęły przychodzić zaproszenia, i to nawet ze stron, gdzie Misyonarze mało byli znani.

Gromadka nasza w liczbie pięciu podzieliła się na dwie części. Trzech miało dawać misye po większych parafiach, dwóch po mniejszych. Pierwsi wyjechali zaraz więcej na wschód, a Księża Janowski i Tyżyński puścili się na zachód.

Miejscem, w którem mieliśmy wypróbować nasze siły, było miasto **Jackson**, w stanie Michigan, w dyecezyi Detroit.

Na ochocie i zapale nie brakowało nam wprawdzie. Jednak przez głowę przechodziły myśli poważne. Jeden był zaledwie kilka razy na misyach, drugi miał odbyć swój pierwszy chrzest. Podróż na zachód, jak tu mówią, na Westy, ma dla mieszkańców Ameryki pewien urok. Część zachodnia Stanów to kraj mało jeszcze zaludniony, to miejsce mało tknięte ręką cywilizatora, niszczyciela przyrody. W tę strony ciągną jeszcze awanturnicy na wyprawy myśliwskie. Tu uciekają wszyscy, których prawo ściga za rozmaite wybryki. Stan Michigan nie zalicza się wprawdzie do zupełnie dzikich, w części jednak posiada nieprzebyte knieje, siedlisko pier-

wotnych mieszkańców Ameryki, to jest Indyan, i dzikich zwierząt.

Pozwolą Czytelnicy, że nieco odstąpię od przedmiotu opowiadania. Zapewne dla Czytelników naszych „Roczników“ nie będzie to bez korzyści.

Michigan to nazwa indyjska. Stan nosi ten tytuł od ogromnego jeziora, nad którego brzegami się rozciąga. Cały stan obejmuje ogromny obszar ziemi, dorównujący niejednemu państwu Europy. Składa się z dwóch półwyspów. Południowa część stanu przypomina dłoń ludzką lub rękawicę o jednym palcu. Od wschodu dotyka jeziora Erie i Huron, od zachodu oblewają go fale burzliwego jeziora Michigan. Od północy łączą się obydwa jeziora Michigan i Huron cieśniną zwaną Mackinae. Od południa zaś opiera się o stany Ohio i Indiana. Drugi półwysep leży więcej na północ, o wiele mniejszy od poprzedniego. Cały prawie oblany wodami jezior Superior, Huron i Michigan. Od zachodniej tylko strony łączy się ze stanem Wisconsin. Obydwa półwyspy mają klimat bardzo gorący w lecie, w zimie ostre mrozy. Stan ten należy do najbogatszych stanów Unii. Wewnątrz ziemi znajdują się bogate pokłady węgla, rudy żelaznej, soli i miedzi. Szczególniej ostatni produkt stanowi wielkie bogactwo tego kraju. Północny półwysep dostarcza znowu innym stanom wielkiej ilości drzewa budulcowego. Komunikacya jest idealna. Na przestrzeni przeszło 1000 mil łączy się z jeziorami. Stąd też od dawna istnieje tu bardzo wielki ruch okrętowy. Ziemia żyzna i równa nadaje się pod uprawę różnych gatunków zboża i owoców. W całej Ameryce znane są michigańskie jabłka i brzoskwinie. Stan Michigan dostarcza jedną trzecią część trzciny cukrowej, uprawianej we wszystkich innych stanach Unii.

Klimat zbliżony do naszego, w Polsce, oraz gleba podatna pod uprawę, były powodem, że nasi emigranci w te strony skierowali swoje wyprawy.

Stąd miasto Detroit stało się jednym z pierwszych ognisk polskości.

Pierwotnymi mieszkańcami byli rzeczywiście Indyanie, których dziś liczą około 7 tysięcy. Powoli jednak ustępują w nieprzebyte knieje na północ. Wielu zmięszało się z pierwszymi kolonistami i wytworzyli półdzikich mieszkańców lasów — zwani halfbreeds — znani są jako nieustraszeni myśliwi. Pierwsi biali koloniści rekrutowali się głównie z Francuzów. Oni dali początek największemu miastu Detroit, 200 lat wstecz. W tem mieście przebywał sławny ks. Gabryel Richard, Francuz z pochodzenia, twórca systemu szkół katolickich w Stanach Zjednoczonych. Człowiek niestrudzony na polu szkolnictwa katolickiego. On to założył dwie szkoły wyższe (w r. 1804), we własnem mieszkaniu utrzymywał szkołę dla nauczycieli. Swoim wpływem wymógł na rządzie stanowym, że szkoły katolickie otrzymywały zasiłki od stanu. O tem dziś katolicy nawet marzyć nie mogą. Należał również do fundatorów uniwersytetu Michigańskiego, zw. Ann Arbor. Energia tegoż męża, pełnego ducha Bożego, była niespożyta. W r. 1809 zakłada w Detroit drukarnię, w której drukowano pierwsze katolickie czasopismo w stanach północnej Ameryki, „Impartial Observer“.

Jakie musiały być zasługi i wpływ tego kapłana, może poświadczyć to, że w r. 1823 ludność stanu Michigan wybrała go swoim delegatem do kongresu w Washingtonie. Jedyny to dotąd wypadek w Ameryce północnej. Ks. Richard umarł jako ofiara gorliwości kapłańskiej w czasie cholery w r. 1832. — Wspomniałem nieco obszerniej o tym kapłanie, gdyż należy on do szeregu tych wielkich pionierów, którzy przygotowywali grunt pod obecny rozwój Kościoła katolickiego w tutejszym kraju.

Pod względem kościelnym dzieli się cały stan na trzy dyecezye. Większy półwysep posiada dwie, Detroit na południu i Grand Rapids na północy. Mniejszy zaś półwysep ma jedną, Marquetta. We wszystkich trzech mieszka spora liczba Polaków. Najwięcej jednak posiada naszych rodaków dyecezya detroicka. W samem mieście znajduje się obecnie

dziesięć parafii polskich. Tyleż jest rozrzuconych po innych miastach dyecezyi.

Czem był dla katolików obcych narodowości ks. Richard, tem był dla Polaków ś. p. ks. Józef Dąbrowski. On to pierwszy zrozumiał potrzeby naszej Polonii. Niestrudzoną pracą i poświęceniem dał początek pierwszemu kolegium i seminaryum polskiemu. Skromny był początek jego, za to dziś posiada wspaniałe pomieszczenie, w uroczej okolicy nad jeziorem Pontiac, w Orchard Lake.

Setki młodzieży wyszły z murów kolegium świętych Cyryla i Metodego i pracują dziś we wszystkich zakątkach stanów jako kapłani, adwokaci i lekarze.

Ks. Dąbrowskiemu zawdzięcza również Polonia tutejsza drugie dzieło, które należałoby złotemi literami zapisać w jego życiorysie, t. j. sprowadzenie Sióstr Felicyanek. Któżby był przypuszczał, że z małego klasztorku przy narożniku ulic Aubin i Canfield wyjdą szeregi pracownic, które pracą cichą, a pełną poświęcenia, wychowają tysiące dziatwy polskiej w duchu polsko-katolickim. Trzeba przyznać, że palec Boży był w tem dziele. Świadczy o tem dziwny rozwój tego Zgromadzenia. Zaledwie upłynęło 20 i kilka lat od sprowadzenia go do Ameryki, a dziś ma już tutaj cztery prowincye.

Odbiegłem nieco od rzeczy. Spodziewam się jednak, że będzie to z pożytkiem dla Czytelników naszych „Roczników".

Pierwszy zaprosił Misyonarzy w tamte strony ks. Józef Herr., proboszcz polskiej parafii św. Józefa w Jackson Mich. Żeby tam zdążyć, poszukaliśmy w rozkładzie jazdy najodpowiedniejszego pociągu i puściliśmy się linią Lake Shore, która łączy Buffalo z Chicago, do miejsca przeznaczenia. Pociąg pędził szybko. Wogóle ta linia należy do najlepszych i najwygodniej urządzonych. Po dwóch godzinach wśród równin, wzdłuż jeziora Erie, stanęliśmy w Cleveland, w stanie Ohio. Stacya w Cleveland, jak prawie wszystkie w Ameryce, bardzo brudna, jakiś nieforemny gmach, postawiony na urwistem wybrzeżu jeziora. Pociąg każdy musi przejechać wązką halę, która zdala przypomina raczej tunel o kilku wejściach. Oczy-

wiście miejsca za mało na tyle pociągów. Trzeba było czekać, zanim nas przepuszczono. Przypomniałem sobie tutaj moją pierwszą wyprawę po kolekcie. W tem mieście zacząłem zbierać fundusze na budowę naszych kolegium. Właśnie dwa lata mijają od tego czasu. Polonia tu liczna. Jest 9 parafii. Miasto samo przemysłowe, liczy przeszło pół miliona ludności. Prawie wszystkie narody słowiańskie mają tu licznych przedstawicieli. Bardzo dużo znajduje się tutaj Czechów i Słowaków. Charakterystyczną cechą Clevelandu jest jego położenie. W kilku kierunkach miasta idą szerokie i głębokie parowy, nad którymi przerzucone długie stalowe mosty.

Za jednym z takich parowów po zachodniej stronie, już prawie w polu wznosi się polski kościółek św. Barbary. Trudno nazwać go jednak kościółkiem, gdyż z wyglądu przypomina raczej koszary. Gmach duży, spora liczba ubikacyi, a na dole dość duża hala przeznaczona na kościół. Będąc tam przed dwoma laty, zastałem właśnie ks. biskupa, który zjechał, aby zadecydować o losach tej parafii. Jeden z kapłanów polskich pragnął zorganizować nową parafię. Postawił ten budynek. Niestety pokazało się, że wybór miejsca był niefortunny. Kościół stał za wąwozem, ludzie mieszkali więcej w mieście. Zatem prawie nikt nie chodził na nabożeństwo. Tłomaczyli się tem, że droga za przykra, a w zimie prawie niemożliwa do przebycia. Miasto zaś nie spieszyło się z budową mostu. Żaden z księży nie chciał tam pójść. Wreszcie przybył młody kapłan z Europy, ks. biskup rzeczywiście dał mu tę ogromną parafię bez parafian. Byłem świadkiem, jak opowiadał ks. biskupowi, swoje pierwsze nabożeństwo. Obszedł niektóre polskie rodziny w blizkości, zapowiedział nabożeństwo, którego od dłuższego czasu nie było. Zebrało się około pięćdziesiąt osób. O organiście i kościelnym nie było tam mowy. Ksiądz widzi, że nasza wiara siada do ławek, pomimo że kurzu było na pół centymetra grubości. Żaden nie zabrał się do oczyszczenia. Otóż co czyni nowy proboszcz? Rozpoczyna nabożeństwo, ale z miotłą w ręce. W kościele stało się ciemno od kurzu, nasi kichają,

ale honor nie pozwalał im wyręczyć księdza. Wreszcie ksiądz odzywa się, a czy was nie wstyd, że żaden mi nie pomoże. Wtedy kilku ruszyło na ochotnika, zamietli zgrubsza. Nabożeństwo odprawiło się, jak zwykle. Ze zdumieniem dowiedziałem się, ze na całej propercie parafialnej ciążyło 18.000 dol. długu. Ks. biskup jakoś nie zwinął tej parafii, widać, że podjął się ktoś spłacać owe długi. Inne parafie polskie są dobrze zagospodarowane. — Pociąg nasz ruszył tymczasem dalej. Wkrótce znikło miasto Mereland z chmurą dymu, unoszącym się z ogromnych stalowni.

Podziwialiśmy wspaniale obrobione pola. Znać zaraz rękę kolonisty Niemca. Zadziwiło nas tylko, że jak okiem sięgnąć, pola zasiane kukurudzą. Tu i ówdzie widniały ładne domki farmerskie. Dalej znów ogromne obszary ziemi— sama kapusta. Wreszcie pociąg zwalnia biegu. Zdala poznaję wieżę kościoła polskiego św. Antoniego. A więc jesteśmy w Toledo, w nowej dyecezyi i nowej placówce polskiej. Miasto mniejsze od Cleveland, ale też mniej byznesowe. Zato polonia intelektualnie lepiej stoi. Tu przecież jest sławna drukarnia p. Paryskiego, która mieści się w ogromnym gmachu. Tu wychodzi jego gazeta „Ameryk. Echo". Niestety wpływ tej drukarni i gazety bardzo szkodliwie działa na naszych rodaków. Tu układają i drukują się senniki, które Polacy cenią więcej aniżeli katechizm. Z nimi mamy wiele utrapienia na misyach.

Po dwugodzinnem czekaniu, zmieniamy pociąg i wjeżdżamy do stanu Michigan. Już mrok zapadł, kiedy wreszcie usłyszeliśmy wołanie: „Jackson!" — To cel naszej podróży.

Ciemno, nie mamy przytem pojęcia o wielkości miasta, ani o położeniu polskiego kościoła. Na szczęście na dworcu stały „hęki", po polsku fiakry. Każemy się zawieść do polskiego ks. proboszcza. Kiwnął głową, że zna. Ledwie po 10 minutach stanęliśmy przed ładnym domem, zbudowanym w czystym guście amerykańskim.

Po zwyczajnem zapoznaniu się, które w Ameryce odbywa się bez ceremonii, bo to kraj demokratyczny, oraz po

spożyciu kolacyi, ułożyliśmy plan misyi. Ks. proboszcz życzył sobie, aby misya trwała przez tydzień, a potem 40-to godzinne nabożeństwo. Zatem nie było mowy o rozkładzie na serye. Na drugi dzień, na sumie, miało być uroczyste rozpoczęcie.

W czasie rozpoczęcia i w ciągu wszystkich dni mieliśmy sposobność poznać, że lud nasz kocha jednak misyę. Pomimo rozmaitych wad, jak pijaństwa i pieniactwo, przecież garnie się do Boga. Mieliśmy i w Jackson na to dowód. Najbliżsi mają prawie pół godziny drogi do kościoła, a jednak wieczorami kościół był pełen. Rano o godz. 5, potem o godz. 8 i po południu o godz. 3, również była spora gromadka.

Ze spowiedzią ułożyli się bardzo ładnie. Prawie we dwóch spowiadaliśmy; niekiedy ks. proboszcz zasiadał. Dość, że ogółem wyspowiadało się 1400 osób.

Nasi rekrutują się głównie z Królestwa. Nie brak również i ludzi z Galicyi, ale pierwsi są górą. Zastaliśmy tu kilka osób, które przedtem należały do Maryawitów. Dziś są gorliwymi katolikami.

Polacy pracują po części we fabrykach, a większość przy torach kolejowych. Jest tutaj kilka fabryk. Każda z nich wyrabia części do automobilów, n. p. jedna ogromna fabryka wyrabia same sprężyny, inna znów same tylko gumy.

W ciągu tygodnia mieliśmy sposobność poznać nieco miasto i bliższą okolicę. Gościnny ks. proboszcz nie omieszkał żadnej sposobności, aby zrobić nam rozrywkę. Sam zamiłowany w jeździe automobilowej, brał pojedynczo każdego na swój mały wehikuł i pokazywał osobliwości miasta.

Warto nieco wspomnieć o polskiej parafii. Położenie ma prześliczne. Przed kilkunastu laty, pewien bogaty człowiek, nie mając rodziny, chciał sprzedać komuś swój ładny dom z dużym ogrodem. Wolał sprzedać taniej, aby tylko nie dzielić na części. Ks. proboszcz kupił całą propertę za 10.000 dolarów, to znaczy, za bezcen. Dom zamienił na plebanię, w części ogrodu wystawił kościół murowany, za kościołem szkołę. Postawił dom dla Sióstr. I jeszcze został

ogromny ogród. W lecie wygląda tu uroczo. Wszystkie budynki ukryte są wśród ogromnych klonów i świerków.

Ruchliwy ks. proboszcz zakupił drugą propertę, jeszcze wspanialszą dla Sióstr Felicyanek, za 30.000 dol. Pragnął bowiem, aby Siostry przeniosły tam swoją szkołę dla kandydatek Myśl była dobra. Dotąd bowiem kandydatki mieszkają przy klasztorze macierzystym w Detroit, w miejscu ciasnem i niezdrowem.

Przez jeden tylko rok trzymały tu Siostry Felicyanki swoją szkołę. Właśnie tego roku wywieziono ją z powrotem do Detroit, a na ich miejsce miały przyjść dzieci ze sierocińca. Zdziwieni byliśmy, dlaczego Siostry zabrały uczennicę z tak zdrowego i ładnego miejsca. Ks. proboszcz oświadczył, że Siostry bały się, aby kandydatki nie straciły zamiłowania do ubóstwa. Przekonaliśmy się rzeczywiście, że dom ten to prawdziwy pałac. Wewnątrz kosztowne urządzenia. Kolumny i obramienia kominków zrobione z rozmaitych gatunków marmuru. W każdym pokoju zwieszał się wspaniały żyrandol. Dawne pokoje pozamieniano na klasy, a w każdej fortepian lub harmonium. Jest to cenny nabytek dla zakonu. Szkoda tylko, że nie będzie należycie wyzyskany. Dla dzieci zaś to szkoda tak ładnych ubikacyi, bo je zniszczą.

Miasto Jackson położone na pagórkach, bardzo malowniczo Każda ulica ocieniona ślicznymi klonami. W miejscach wolnych stoją potężne dęby i świerki. Są to świadkowie dawnej przeszłości tych okolic.

W środku miasta wznosi się potężne więzienie stanowe. Wśród jego lokatorów nie brak naszych Polaków. Okolica również bardzo malownicza. Na okół są farmy, tu i ówdzie są lasy. Zdala patrząc, wydaje się, jakoby cała okolica była wielkim lasem. Nie brak też jezior i moczarów. Ledwie milę (amerykańską) od miasta są dwa wspaniałe jeziora, połączone rzeczką. Przemyślni Amerykanie wyzyskali te miejsca. Pobudowali restauracye i domki kąpielowe dla wygody wycieczkowców.

Mając tak ładne widoki i gościnnego ks. proboszcza nie czuliśmy wiele zmęczenia w pracy. Zdziwiliśmy się nawet, że to już koniec misyi. Odprawiliśmy jeszcze uroczyste nabożeństwo żałobne, które bardzo podobało się ludziom, że Misyonarze nie zapomnieli i o zmarłych parafii.

Muszę również wspomnieć na pochwałę tej parafii, że ludzie garnęli się ochoczo do bractw, różańca św. i szkaplerza. Szczególnie medalik cudowny podobał się wszystkim. Mężczyźni nawet, i to bardzo licznie garnęli się do medalika. Zdaje się, że czuli potrzebę większej Opieki Matki Najśw., pracując bowiem przy kolejach narażeni są na częste wypadki. Wspaniale wypadła chwila poświęcenia dziatek i wkładania im cudownego medaliku. Ks. proboszcz, wychowany w Ameryce, nie znał tej ceremonii. Podczas poświęcenia stanął wśród dzieci na kościele. Ładny to był widok.

Z miłemi wrażeniami wróciliśmy tą samą drogą do Erie, aby zaraz puścić się na misyę do Buffalo, przez kogo innego opisaną. Po dwutygodniowej pracy w Buffalo, puścili się ciż sami konfratrzy do malutkiej parafii w mieście Medina (N. Y.), położonem w stanie New York, w połowie drogi między Buffalo a Rochester.

Medina, to miasteczko, w północnej części stanu New York. Posiada kilka fabryk niewielkich. Do ostatnich czasów była tu jedna katolicka parafia angielska. Polacy gromadnie ciągnęli do Buffalo, a stamtąd rozchodzili się po miastach okolicznych za robotą. Osada polska w tem mieście wprawdzie nieliczna, ale zato dość stara. Są tu rodziny zamieszkałe od roku 1883. Prawie wszyscy z pod zaboru pruskiego. Spotkaliśmy tu rodzonego brata naszego ks. Wdzięcznego. Ucieszył się bardzo staruszek, skoro dowiedział się o swoim bracie księdzu. Powiadał, że nieraz pisał, ale myślał, że już brat umarł, bo niemiał żadnej o nim wiadomości.

Polacy należeli pierwotnie do parafii angielskiej. Młode pokolenie, jak zwykle bez szkoły polskiej i kościoła, prawie zupełnie zapomniało języka polskiego. Słyszeliśmy nawet, jak rodzice sami mówili do dzieci w języku angielskim. Zostało

jednak przywiązanie do swojej narodowości. Skoro tylko ks. biskup pozwolił na utworzenie polskiej parafii, prawie wszyscy wrócili do polskiego kościoła. Parafia istnieje dopiero od roku 1909. Ciekawy był jej początek. Proboszcz irlandzki zaczął nabierać Polaków ostrzej. Żądał, by na równi z innymi przyczyniali się do utrzymania jego kościoła. Polakom to nie było na rękę, zaczęli się upierać. Dla nas niema kazania po polsku, to i nie potrzebujemy płacić na równi z innymi. Ksiądz irlandzki jednak nie ustąpił, chciał postawić na swojem. Aby zmusić Polaków do uległości, począł wypędzać dzieci polskie ze swojej szkoły. Wtedy Polacy poczęli myśleć o własnej parafii. Wybrali delegacyę, która udała się do Buffalo do ks. biskupa. Ks. biskup Colton chętnie się zgodził. Sam udał się na miejsce, aby zbadać sytuacyę. Wskazał nawet miejsce dogodne pod przyszły kościół. Polakom jednak to miejsce się nie widziało, bo to nieco za miastem. Poszli jeszcze raz do księdza biskupa z oświadczeniem, że chcą kościół w mieście, a nie na łąkach, gdzie pasą się krowy. Ks. biskup zgodził się i na to. Owszem posłał zaraz młodego ks. Gwoździa, który zorganizował parafię pod wezwaniem Najśw. Serca Jezusowego. Wybudowano malutki kościółek z drzewa, 1910 roku, a w rok potem i plebanię, coś za 7 tysięcy dolarów.

Po dwóch latach posłał tu ks. biskup ks. Wojciecha Cichego. Zacny ten kapłan wziął się z całą gorliwością do pracy. Przystąpił najpierw do spłacenia długów, a nawet nosi się z myślą budowy nowego kościoła, gdyż pierwszy pokazał się za szczupły. Wielkiem również jego marzeniem było urządzić misyę. Zawsze przywiązany do naszego Zgromadzenia, prosił nas na nią. Ludzie tutejsi nie mieli pojęcia o misyi. Przez kilka więc niedziel tłomaczył im, co to są misye i dlaczego się tutaj odbędą.

Oczywiście znalazło się i tutaj kilku upartych, którzy wygadywali w salonach, t. j. karczmach, na ks. proboszcza i poprawiali jego nauki.

Ale zaszedł wypadek, który ludziom otworzył oczy, a nam dał znakomity materyał do kazań. Jeden z głównych krzykaczy przed samą misyą nagle umarł. Na tym samym stołku w karczmie, z którego głosił swe nauki, zakończył życie.

Zaczęliśmy misyę, jak zwykle, w niedzielę na sumie. Kościółek był przepełniony. Odtąd przez cały tydzień mieliśmy zawsze pełno ludzi. Owszem im bliżej końca, tem większą było widać gorliwość. Nawet z okolicznych miast ściągali. Pomimo niepogody, gdyż dość często padał śnieg, to znowu deszcz, a powietrze było przykre, zawsze mieliśmy dużo ludzi.

Do spowiedzi św. garnęli się bardzo ochoczo. Tu szczególnie zachodziły ciekawe wypadki. Młodzież prawie zupełnie zapomniała języka polskiego. Musieliśmy oświadczyć, że niech każdy spowiada się, jak umie, po polsku lub po angielsku. Wielu z chłopaków i dziewcząt mówiło nam: „Ja nie umiem wprawdzie po polsku, ale chcę się spowiadać po polsku“. Dziwne były te spowiedzi, pół po polsku, pół po angielsku. Były też ciekawe kwiatki gwary polsko-amerykańskiej. Z rozrzewnieniem patrzeliśmy na tę naszą młodzież, w której duszy tli przywiązanie do mowy ojców. Oświadczali nam często, że wolą słuchać nauki po polsku, aniżeli po angielsku. Jakoś prędzej trafiały im do serca. Pokazuje się stąd, jakie doniosłe znaczenie pod względem religijnym i narodowym ma kościół i szkoła polska.

Opowiadał nam ks. proboszcz inny ciekawy wypadek i sami mogliśmy to zauważyć.

Młodzież ta wychowana była w szkole katolickiej, angielskiej, i uczęszczała do kościoła katolickiego, a przecież wiele kosztowało go pracy, aby nauczyć ją zachowywać się jako tako w kościele. Wielu przynosiło sobie do kościoła cukierki, gumę do żucia i pimace (rodzaj orzechów) i zajadało w najlepsze. Po każdej Mszy św. leżało pod ławkami pełno łupin i papierków.

Kiedyśmy wspomnieli o różańcu, szkaplerzach, o cudownym medaliku, wszyscy garnęli się z wielką ochotą. Błogosławienie dzieci i wkładanie uroczyste cudownego medalika zrobiło wielkie wrażenie.

Do spowiedzi św. przystąpiło ogółem około 650 osób.

Na zakończenie misyi przyszedł komitet parafialny pożegnać nas i podziękować nam. Szkoda, mówili, że tak krótko trwała ta misya św. u nas. Właściwie teraz powinna się zacząć, bo teraz dopiero rozumiemy jej znaczenie. Rzeczywiście skutki były widoczne już podczas trwania misyi. Wielu garnęło się do spowiedzi św. takich, którzy przedtem mało chodzili. Kilku jednak pozostało w uporze, jeden stary pijak uparł się, że jemu misya niepotrzebna, nic nie pomogły prośby i nawoływania nasze i dzieci jego. Na każdym jednak kroku widać było działanie łaski Bożej.

Trzeba przyznać, że miło odprawia się misyę w miejscu, gdzie ks. proboszcz sam jest gorliwy, zawsze lud jest lepiej przygotowany. Tak właśnie było w Medina.

Po misyi w Medina mieliśmy tydzień prawie czasu na wytchnienie. W następną niedzielę 8 grudnia mieliśmy zacząć renowacyę misyi w Burlington N. J. (New Jersey), a 15 grudnia regularną misyą w Dunkirk N. J. Tymczasem nadeszła wiadomość, by ks. Tyżyński zaraz z Mediny podążył do Cleveland (Ohio) na 40-to godzinne nabożeństwo.

Musieliśmy się zatem rozłączyć. Jeden podążał via Buffalo, Erie, do Cleveland, drugi zaś na Rochester, do Filadelfii. W piątek nadjechał ks. Tyżyński i razem w sobotę puściliśmy się do Burlington.

Burlington leży w stanie New Jersey, o godzinę drogi od Filadelfii, na głównej linii do New Yorku. Niczem nie różni się od innych miast. Posiada kilka fabryk żelaznych, nieco mniejszych przedsiębiorstw, a na około są ładne farmy. Wogóle cały ten stan posiada urodzajną glebę, zdatną pod uprawę rozmaitych zbóż i drzew owocowych. W ostatnich czasach wielu z naszych osiadło na farmach w tym stanie. Polacy ciągną w te strony dość licznie. Najpierw, że blizko New

York, miejsce wyładowania, a potem można łatwo otrzymać pracę. Wielka jest jednak trudność w pracy nad tutejszą emigracyą. Większość są to ptaki przelotne. Zabawią parę miesięcy i jadą dalej lub wracają do kraju z powrotem.

Wielu z nich są to t. zw. słomiani wdowcy, którzy żony zostawili w kraju starym. Ci właśnie przynoszą najwięcej kłopotu tutejszym księżom proboszczom. Do parafii należeć nie chcą, bo ciągle są na wyjezdnem, a zresztą używają swobody na wolnej ziemi amerykańskiej. Pijaństwo i inne rzeczy bardzo ich ciągną. Jeden mają zacny przymiot. Lubią bardzo spowiedź misyjną, ale niestety wystarczy im ona często do drugiej misyi.

Parafia polska w Burlington jest jeszcze młoda. Stanowi ją ludność mięszana, Polacy i Litwini. Ci ostatni są w mniejszości. Proboszczem jest ks. A. Szostakowski, Litwin z pochodzenia. Gorliwie pracuje nad materyalną stroną parafii. Zakupił stary zbór protestancki, nieco go rozszerzył. Posiadają tedy swój kościółek. Przy kościele znajduje się obecnie dość piękna plebania. A prócz tego należy do parafii ładny kawał ziemi.

Ks. proboszcz jest wzorowym gospodarzem, a przytem bardzo oszczędny. Sam spełnia funkcye kościelnego, aby zaoszczędzić na wydatkach.

Kościółek malutki, a przytem bardzo wilgotny, nie mógł pomieścić słuchaczy, trzeba więc było otwierać drzwi i okna. Za to cierpiały nasze gardła, bo po każdym kazaniu byliśmy zupełnie zachrypnięci. Najgorzej było ze spowiedzią. Nas tylko dwóch, a narodu garnęły się masy. Zwykle zasiadaliśmy do konfesyonału już o godz. 6-tej rano. Odtąd z przerwą na kazanie trwała spowiedź św. aż do godz. 12-tej w południe. Aby podołać przyspieszaliśmy znów spowiadanie po południu, już nieraz o godz. 2-ej; aż do 6-ej wieczorem. A po nabożeństwie wieczornem kończyliśmy dopiero parę minut przed północą. Zimno było przenikliwe. Poprosiliśmy więc o jaki piec do zakrystyi. Tem bardziej nalegaliśmy, bo dziura w oknie wskazywała, że tamtędy wychodziła rura od pieca.

Po pewnych wahaniach ks. proboszcz wstawił nam pokaźny piec żelazny i odtąd wiernie przychodził z wiaderkiem i dosypywał węgla.

Zaraz przenieśliśmy się do zakrystyi, która wprawdzie dla dwóch nieco była za mała, ale w każdym razie było nam cieplej. Odtąd do samego końca naszej misyjki nie opuszczaliśmy tego miejsca, choć ks. proboszcz wspominał, że mróz nieco puścił, więc możebyśmy wrócili do kościoła. Martwił się tem, że ludzie podepcą dywan przy wielkim ołtarzu, kędy droga prowadziła do zakrystyi. Nie ustąpiliśmy od pieca, gdyż lepsze nasze zdrowie aniżeli dywan. Lud garnął się gorliwie do spowiedzi św.; zresztą nic dziwnego, był to czas adwentowy.

Przed dwoma laty była tu misya, której udzielali księża Głogowski i Kołodziej. Część zaledwie ludzi pamiętała ich, gdyż drugą część stanowili nowi przybysze. Z okolicznych miasteczek zjeżdżali tramwajami i pociągami na nauki misyjne i do spowiedzi św. Wyspowiadaliśmy ogółem przeszło 900 osób. Szkoda wielka, że nie mogliśmy zabawić tutaj całego tygodnia, jak życzył sobie ks. proboszcz. Czekała nas daleka droga, na nową placówkę pracy, do Dunkirk, na drugim końcu stanu New York, nad jeziorem Erie.

Urządziliśmy uroczyste wkładanie medalików i poświęciliśmy wodę św. Wincentego.

Z pewną ulgą opuszczaliśmy tę parafią, polecając Bogu i N. Maryi Pannie troskę nad temi duszami. Wstąpiliśmy na parę chwil do konfratrów we Filadelfii, zamówiliśmy sobie łóżka, gdyż czekała nas podróż przez całą noc.

Wieczorem 13 grudnia wsiedliśmy do wygodnego pociągu linii Reading, dążącego z Filadelfii do Buffalo.

Zaledwie znaleźliśmy nasze miejsca, spostrzegliśmy ks. biskupa Ortyńskiego. Po przywitaniu się przedstawił nam dwóch gości, których odprowadzał do pociągu. Jeden był nam dobrze znajomy, ks. Sembratowicz, proboszcz ruskiej parafii w Buffalo, a drugi to nowy biskup dla Kanady, ks. Budka, udający się na swój posterunek. Prawie większa część nocy

zeszła nam na rozmowie o stosunkach amerykańskich i kanadyjskich. Z rozmowy widać było, że ks. biskup zdaje sobie jasno sprawę z trudności, które go czekają. Wspomniał nam, że już był w Montreal, gdzie doznał od rządu kanadyjskiego życzliwego przyjęcia i ma zapewnione poparcie z jego strony. Obecnie myśli o wyborze miasta na stałą siedzibę, już wtedy wspomniał o mieście Winnipeg w prowincyi Manitoba, jako najodpowiedniejszem z powodu swego położenia mniej więcej w środku Kanady. Na interesującej rozmowie szybko mijały godziny; aż murzyn lokaj dziwił się, dlaczego nie idziemy spać.

Rano pożegnaliśmy się, życząc sobie wzajemnie powodzenia w pracy i spotkania się jeszcze w Kanadzie.

W Buffalo zmieniliśmy pociąg. Linią Lake Shore podążyliśmy do Dunkirk N. Y.

Ks. Józef Janowski.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

VI.

X. X. Misyonarze w Krasławiu.

„Biedny ludu, szanuj pamiątki po-ojcowskie, bo to twoja arka narodowości".

O. Marek Jandowicz,

Karmelita Trzewiczkowy, słynny kapelan konfederatów barskich, ur. 8 września 1713, † 11 września 1799 r.

Krasław, dość pokaźne miasto nad Dźwiną, dawniej w Inflantach, a teraz w gubernii witebskiej, powiecie dynaburskim, obecnie dźwińskim nazwanym. Najdawniejsze wiadomości o Krasławiu [1]) sięgają może XIV. wieku, a wiadomo z pewnością, że w XV. stuleciu znajdował się tam kościółek filialny, należący do parafii w Indrycy. W drugiej połowie XVI. wieku Krasław z atynencyą, nadany przez Zygmunta Augusta Michałowi Brunnowowi, kanclerzowi nowo utworzonego księstwa kurlandzkiego; Zygmunt III. to nadanie od siebie potwierdził, lecz 1636 roku ten majątek sprzedany został przez Wilhelma Brunnowa Ludyngshauzom-Wolffom [2]),

---

[1]) Mémoires de la Congrégation de la Mission en Pologne, Paris 1864; O kościele krasławskim i jego kronice, Pamiętnik religijno-moralny, ser. 2, tom II, Warszawa 1858; O. Stanisław Załęski, Jezuic w Polsce t. IV i V; G. Manteuffel, Krasław, Warszawa 1901 et alia.

[2]) Ród ten wydał dwu dzielnych i gorliwych biskupów i głośnego w swoim czasie Jezuitę, Jerzego.

którzy tutaj dziedziczyli do roku 1676; potem się to staje własnością Kossowów, lat kilkadziesiąt władających Krasławiem; od r. 1725 do 1729 należy do Czapskich, a na początku roku 1729 nabywa Krasław Jan Ludwik Broel-Plater, naówczas starosta inflancki i dynaburski, i dotąd w tym zacnym zostaje rodzie.

Otóż wyżej wspomniany Jezuita Jerzy Ludyngshauzen-Wolff początek uczynił misyi jezuickiej w Krasławiu (Missio-Plateriana) w 1676 roku; odtąd mieszkał tu zwykle jeden kapłan tego Zgromadzenia, spełniając obowiązki parafialne; potem inni też przyczynili się do uposażenia tej misyi i już dwóch tam księży mieszkało i tak było do roku mniej więcej 1756, kiedy w Krasławiu zaczęto budować katedrę dla biskupstwa inflanckiego, a OO Jezuici przenieśli się do Indrycy; w ten sposób powstała tam Missio per Livoniam trwająca do roku 1779. Jezuici krasławscy mieli w swoim kościele cudowny obraz M. B., z Dorpatu wywieziony w pierwszej ćwierci XVII. wieku; wzięli go do Indrycy; dalsze jego losy nie znane nam, niestety.

Jeszcze raz mieszkali Jezuici w Krasławiu, mając tam rezydencyę ze szkołami, ale już bardzo czas krótki: gdy z Dynaburga musieli oni ustąpić, to się przenieśli czasowo do Krasławia w 1811 roku i byli tam, szkoły utrzymując, lat cztery.

Po odpadnięciu od Polski biskupstwa wendeńskiego [1]) przy Rzeczypospolitej została tylko mała bardzo cząstka tej owczarni w obwodzie dynaburskim. Wydziedziczeni pasterze, niby *in partibus,* nie mający nawet katedry ani seminaryum, poczęli się mianować inflanckimi, a także piltyńskimi, rozciągając swoją władzę (często nominalnie tylko) i na resztę Inflant i na Kurlandyę. Żeby pozycyę tych biskupów ulepszyć, znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy

---

[1]) Postanowione było przez Stefana Batorego i urządzone w Inflantach w Wendenie (Kiesi), a na mocy nieszczęsnego pokoju w Oliwie 1660 r. stracone było zupełnie.

postarali się udotować to biskupstwo, wystarać się o środki dla niego, a Konstanty Ludwik Plater, wojewoda mścisławski, postanowił w swoim dziedzicznym Krasławiu wybudować katedrę, zaprowadzić seminaryum pod zarządem Misyonarzy.

Tak tedy *viribus unitis* powstała ta fundacya: Biskup inflancki Antoni Ostrowski przeznaczył w tym celu 4.000 talarów, Biskup smoleński Andrzej Hylzen dał 2.000 talarów i majętność Płoskie (pow. wieliski gub. witebskiej). Wyżej wspomniany Plater, oprócz wybudowania kościoła i seminaryum, ofiarował Bałtyń, niedaleko od Krasławia leżący, X. Józef Dominik Puzyna 30.000 tynfami obdarzył; nieco potem wpłynęło od Kaspra Grużewskiego, rotmistrza w. p. 1.500 rub., od kanonika Akielewicza 1.000 rub., od X. Hinza 3.000, od X Latkowskiego 8.333 rubli; nadto Stolica Apostolska wyznaczyła rocznie po 180 skudów, niektórzy mówią złotych czerwonych etc.; zapewne były jeszcze też inne zapisy.

XX. Misyonarze przybyli do Krasławia (z Warszawy i Wilna) dnia 29 grudnia 1755 roku i objęli zaraz drewniany kościół parafialny z fundacyi jeszcze Ludyngshauzów-Wolffów po Jezuitach, którzy ostatecznie Krasław opuścili w roku następnym i w tymże samym roku zaczęto murować kościół i klasztor; fabryka ta trwała lat 18; ukończono zupełnie w 1775 roku; kościół konsekrował Siestrzencewicz w 1777 roku.

Podług planów i życzeń wojewody Platera w Krasławiu miał rezydować biskup inflancki lub jego sufragan (w tym celu był zapis Puzyny); dla pomieszczenia konsystorza i kanoników fundator wznosić kazał w miasteczku naprzeciw kościoła osobne domy przy ulicy noszącej nazwę kanoniczej lub kanonnej, ale pierwszy zabór kraju te zacne zamiary fundatora udaremnił i w niwecz znaczną część ich obrócił, świątynia jednak wspaniała stanęła, budowana przez wenecyanina Paraeca, upiększono ją wewnątrz okazale; istnieje dotychczas; seminaryum zarządzane przez XX. Misyonarzy prosperowało około lat 90, wydając bardzo bogate plony, wiele korzyści Kościołowi przynosząc. Klasztor dwu-

piątrowy z cegieł miał tworzyć kwadrat, łączący się w środku z kościołem, skrzydło jednak wschodnie jego z powodu śmierci fundatora niewykończone zostało, ale zawsze to też bardzo okazała budowa w stylu wielce poważnym.

Pierwszym superyorem tego Domu był X. Paweł Szerboński, który na tem stanowisku zostawał do swojej śmierci, dnia 15 lipca 1757 roku.

Po nim przełożonym od 24 października 1757 roku X. Wojciech Kosk, może też nazywający się Churkowski. Ten się miał rodzić w dyecezyi krakowskiej 30 kwietnia 1721 r., na Stradomiu wstąpił do Zgromadzenia w 1746 r., sprawował różne urzędy, odznaczając się wszędzie gorliwością, śmierć go zaskoczyła w Warszawie 7 maja 1775 roku na polu pracy apostolskiej. Za jego czasów w Krasławiu 1758, wydany został przywilej od Stolicy Apostolskiej na założenie bractwa Trójcy Przenajświętszej.

Od 16 września 1759 r. trzeci superyor X. Samuel Wiszniewski. Podczas jego rządów, 1760 r., otrzymano od Klemensa XIII. przywilej na 2 ołtarze w kościele Krasławskim, Św. Trójcy i Wniebowzięcia N. M. P., z odpustem zupełnym za dusze w czyścu cierpiące, na lat 10.

X. Kajetan Norszyński stał na czele Domu od 1764 do 1768 r., w którym konstytucyą sejmu warszawskiego nadzwyczajnego kościół Krasławski potwierdzony na katedrę biskupów inflanckich.

Dnia 23 maja 1768 r. mianowany superyorem X. Józef Szabski, zostający tam do lipca 1774 roku.

Od 8 lipca 1775 sprawował tam rządy X. Stanisław Sladowski. Przyszedł on na świat w Chełmnie 3 maja 1746 r., do Zgromadzenia wstąpił 1759, był profesorem teologii, wymownym kaznodzieją, słynął z pobożności; z Krasławia posłano go do Lublina w charakterze przełożonego, gdzie oddał Bogu ducha dnia 31 października 1798 roku. Za jego bytności w Krasławiu odbyło się przeniesienie do

nowego klasztoru, konsekracya nowego kościoła, pogrzeb (1775 r.) fundatora, którego zwłoki złożono w sklepach nowej świątyni, sprowadzenie z Rzymu relikwii św. Donata, które z początku złożone w pałacowej kaplicy Platerów, a potem uroczyście przeniesione do nowego kościoła przez Siestrzenczewicza w asystencyi X. Biskupa abderatańskiego, Benisławskiego; zaprowadzono też w dni zapustne czterdziestogodzinne nabożeństwo. W 1775 roku mieszkało tam kapłanów 9.

Potem X. Michał Świrzyński (piszą go też Świerzyński) superyorował od 10 lipca 1785 r. do 1791 roku. Przy nim relikwie św. Donata przełożono ze szklanej trumienki do bronzowej, a krew tego Świętego umieszczono osobno w srebrnym krzyżu; działalność tę stwierdził dokumentem od siebie wydanym X. Biskup Benisławski. W r. 1790 za zezwoleniem Stolicy Apostolskiej, zaprowadzono uroczystość św. Donata, z zupełnym odpustem w pierwszą niedzielę po św. Piotrze.

X. Maciej Możdzieniewski był przełożonym od r. 1791 do 1806; rodem Krakowianin; przyszedł na świat 1748 roku; sprawował różne w Zgromadzeniu urzędy, potem został (zapewne po sekularyzacyi) archidyakonem białoruskim, proboszczem mohylowskim, a 1815 r. otrzymał sakrę jako biskup akoneński i sufragan mohylowski; umarł 5 kwietnia 1819 roku. Za niego w Krasławiu w 1792 roku pochowano żonę fundatora, Augustę z Ogińskich Platerową, w grobach familijnych, a w r. 1801 w rocznicę śmierci Anny z Rzewuskich Augustowej Platerowej, synowej fundatorów, staraniem jej męża, w sierpniu odbyły się przez trzy dni za jej duszę egzekwie, w czasie których celebrował Jan Nepomucen Kossakowski, biskup wileński i Andrzej Łopaciński, biskup żmudzki, mowę miał X. Andrzej Pohl, wizytator Misyonarzy; na zakończenie nabożeństwo żałobne za fundatorów także.

W r. 1806 objął przełożeństwo X. Mateusz Szatkowski, rodem z Mazowsza, a razem z nim wtedy mie-

szkali w Krasławiu: X. Jerzy Myszkowski, asystent, X. Józef Kowalewski z X. Józefem Stęgwiłłą spełniał obowiązki parafialne, X. Kazimierz Ragulewicz, prefekt kościoła, X. Augustyn Racewicz, prokurator, a X. Tadeusz Smółko i X. Antoni Romaszkiewicz uczyli w seminaryum; profesorami zaś w szkółce byli: Franciszek Zambrzycki i Tomasz Borowski; nadto dwóch braciszków. W tymże roku (1806) zaczęto osobną kaplicę św. Donata budować, co trwało dość długo i dopiero 1818 r. w dniu Imienia Maryi po nieszporach, rozpoczęto obchód przeniesienia relikwii św. Donata do tej kaplicy. Przybyły z Mohylowa Biskup Możdzieniewski z licznem gronem duchowieństwa przełożył relikwie Świętego z dawnej trumienki do nowej wysrebrzanej, pięknemi szkłami ozdobionej, i opieczętował. Tegoż dnia X. Andrzej Pohl, wizytator, ogłosił misyę z odpustem zupełnym, która trwała parę tygodni; około 20.000 pobożnych przystępowało do Komunii; nauki i kazania misyjne, oprócz miejscowych, wygłaszali przybyli z Wilna Misyonarze: XX. Zarzecki, Gąsowski, Laudański i inni. Biskup Możdzieniewski naprzemian z Lipskim i Kamionką bierzmował i wyświęcał na stopnie duchowne; ostatnie kazanie misyjne miał X. Gąsowski, które wielkie wywołało rozczulenie słuchaczy; błogosławieństwo papieskie zakończyło to podniosłe nabożeństwo. W tymże samym roku (1818) dnia 15 października obchodzono w Krasławiu bardzo uroczyście rocznicę zgonu Kościuszki; zgromadziło się na ten obchód obywatelstwo trzech powiatów dawnych Inflant (dynaburskiego, rzeżyckiego i lucyńskiego), licznie bardzo zebrane [1]); wziął też udział w tem książę Ypsylanti, generał brygady, wielu huzarów pułku grodzieńskiego gwardyi, tam konsystującego, i dużo bardzo osób z innych warstw społecznych. Nabożeństwo u Misyonarzy zaczęło się o 6 godzinie: cztery msze śpiewane z wigiliami i nokturnami, potem suma celebrowana przez X. Misyona-

---

[1]) Wiadomość o tem podał „Kuryer Litewski" z r. 1818 Nr. 98, w dodatku.

rza Laudańskiego; kazanie powiedział X. Zarzycki z tegoż Zgromadzenia; podczas sumy damy z arystokratycznych sfer śpiewały hymn ułożony przez Buynickiego, marszałka rzeżyckiego, na nutę „Do Ciebie Panie“ [1]; potem miał mowę Adam Plater, dziedzic Krasławski, a na ostatek wygłosił pożegnanie regent Górnicki. Katafalk wspaniale był przystrojony godłami i emblematami, wystawiono portret Kościuszki z napisem: „Semper honor Nomenque Tuum Laudesque manebunt“. Urządzeniem tego wszystkiego zajęli się XX. Misyonarze i za ich staraniem poważnie i wzniośle odbyła się ta smutna uroczystość.

X. Wincenty Trybułowicz (piszę go też Trybołowicz), mianowany superyorem w 1820 roku; urodził się 1780 r., kapłanem w 1804, w Krasławiu był przedtem profesorem i prokuratorem. Za jego rządów w pierwszym roku uroczyście obchodzono, zatwierdzony przez cesarza, akt zamierzonej emancypacyi włościan powiatu dynaburskiego. W następnym roku restaurowano kościół wewnątrz. Dnia 18 maja 1822 superyor na czele duchowieństwa i seminarzystów przed kościołem witał przejeżdżającego Aleksandra I.

Jan Pajewski został przełożonym 18 września 1824 roku. Ujrzał on światło dzienne w 1789 roku, a do Zgromadzenia wstąpił w 1812 roku. Za czasów jego urzędowania (1825) stanęły dwa nowe ołtarze boczne: Serca Jezusowego z fundacyi Adama Platera i żony jego Ludwiki z Grabowskich, a także M. B Częstochowskiej, fundowany przez komornikową Polańską. W tymże samym roku dnia

---

[1]) Początek tego hymnu taki:

Stwórco wszechistot, który władasz światem,
Lud Twój, korząc się przed Twym majestatem,
Świętych ołtarzy oblega podnoże
Potężny Boże!

A ostatnia strofa:

Nam daj zachować naddziadów spuścizny,
Ich wiarę, cnotę i miłość ojczyzny,
By wdzięczne Tobie setne pokolenia
Nuciły pienia.

17-go grudnia składano przysięgę cesarzowi Konstantemu, a w styczniu roku następnego Mikołajowi I.; w marcu zaś tego roku odbył się jubileusz przez dni 15.

Od r. 1826 do 1828 stał na czele domu X. Jan Łukaszewicz, urodzony w 1796 r., kapłan w 1820 roku; przedtem uczył on teologii moralnej i był dyrektorem seminaryum krasławskiego, wywiązując się doskonale ze swoich obowiązków.

X. Jan Erdman pomiędzy rokiem 1828 i początkiem 1835 rządził tym domem. O nim wiemy, że przyszedł na świat około r. 1797, a w Zgromadzeniu był od 1817; potem zastajemy go w Wilnie konsultorem prowincyi i wiceasystentem domu.

Dnia 5 stycznia 1835 roku obrany na superyora Józef Gołkiewicz (piszą go też Gałkiewicz), który przyszedł na świat jakoś na początku XIX. wieku, a około 1824 r. wstąpił do Zgromadzenia; jego staraniem wymurowana obok kościoła nowa dzwonnica, plac przed kościołem wysadzony topolami, baryerą ogrodzony, i krzyż misyjny odnowiony. W r. 1838 starożytny kościółek filialny w Kopyłowie nad Dźwiną skasowany i rozebrany; był on pod wezwaniem św. Jerzego.

W r. 1836 mieszkali w Krasławiu, oprócz superyora, który też był dziekanem dynaburskim, następujący kapłani z tego Zgromadzenia: X. Mateusz Szyłeyko, dyrektor i profesor seminaryum, liczono mu wtedy lat 43, kapłaństwa 18; X. Karol Obermüller, prefekt kościoła, mający wtedy lat 37, kapłaństwa 12 [1]), X Tomasz Czeczot, kooperator, asystent domu, lat 39, kapłanem 15; X. Antoni Milewski, sprawujący obowiązki parafialne, lat 28, kapłaństwa 3; X. Dawid Wilczewski, profesor seminaryum, lat 30, kapłaństwa 5; X Józef Gościcki, w usługach parafii, lat 42, kap. 13; X. Ignacy Narwojsz, profesor seminaryum, lat 29, kapłanem 5.

---

[1]) W r. 1881 ten X. K. Obermüller był w Krasławiu mansyonarzem od lat 2, zaznaczono mu wtedy lat 80, a kapłaństwa 57. Cf. Directorium mohylowskie na rok 1882.

Roku 1842 dnia 1 maja mianowano przełożonym X Kazimierza Boczkowskiego (piszą go też i Baczkowski), jednocześnie postawiono go też na czele Dynaburga wyższego dekanatu, — superyor to misyonarski *ultimus.*

Personal ostatni tego Zgromadzenia:

X. Józef Jałowiecki, dyrektor i profesor seminaryum, w którem nadto nauczali XX. Dawid Wilczewski, Tomasz Siuciłło (piszą go też i Szuciłło) i Wincenty Gościmiński, oprócz tego jeszcze X. Ignacy Narwoysz, do posług parafialnych, X. Józef Stęgwiłło — też, X. Karol Obermüller, prefekt kościoła.

Ukaz znoszący XX Misyonarzy w zaborze rosyjskim wydano w 1842 r; wykonano go w Krasławiu nieco później, a, jak się zdaje, na początku 1844 Misyonarze opuścili Krasław i jako Zgromadzenie przestali istnieć. Ci zacni pracownicy w Winnicy Pańskiej w Krasławiu, oprócz duszpasterstwa i odbywania misyi, utrzymywali seminaryum dla kleru świeckiego i szkołę publiczną, potem średnią, dla młodzieży; o jednem i drugiem pomówimy osobno.

* * *

Seminaryum w Krasławiu XX. Misyonarze otworzyli w roku 1757 jeszcze przy drewnianym kościele; o środkach jego utrzymania mówiliśmy wyżej; z tego funduszu powinni oni byli kształcić czterech kleryków dla dyecezyi inflanckiej, dwóch dla smoleńskiej, a z datków Stolicy Apostolskiej pięciu alumnów z dyecezyi też smoleńskiej, a w razie ich braku — z Inflant lub Kurlandyi, w rzeczywistości jednak, zwłaszcza później, zwykle znacznie więcej tam się wychowywało aspirantów do stanu duchownego ze środków już Domu tego, ale nie wszyscy klerycy krasławscy otrzymywali święcenia kapłańskie w tem seminaryum: niektórzy potem udawali się do Wilna do t zw. głównego seminaryum, niektórzy zaś szli do innych dyecezyalnych seminaryów, a byli też i tacy, co opuszczali stan duchowny przed wyświęceniem.

Jest mniemanie, iż z tego seminaryum, przez lat 87 jego istnienia, wyszło kapłanów 250, lecz roczne spisy zaznaczają ich tylko z górą 200 [1]).

A mianowicie; w roku 1762 wyświęcono 3 księży, w 1765—2, w 1768—1, w 1770—2, w 1772—1, w 1777—5, w 1778—2, w 1780—2, w 1783—5, w 1784—5, w 1790—6, w 1791—3, w 1792—4, w 1794—4, w 1795—4, w 1797—1, w 1798—4, w 1799—1, w 1801—5, w 1802—4, w 1805—6, w 1807—5, w 1809—7, w 1811—1, w 1813—2, w 1816—4, w 1817—2, w 1820—4, w 1822—10, w 1823—1, w 1824—9, w 1825—16, w 1826—2, w 1827—7, w 1829—3, w 1830—7, w 1832—5, w 1833—15, w 1834—4, w 1836—4, w 1837—1, w 1838—6, w 1839—1, w 1840—3, w 1841—6, w 1842—1 i w 1843—9 kapłanów.

Ciężkie chwile przechodziło seminaryum w r. 1786, kiedy Siestrzencewicz zaprowadził zakład wychowawczy dla swego duchowieństwa w Mohylowie, a że lubił się urządzać tanio, więc zabrał Płoskie, majątek Misyonarzy krasławskich, i jeszcze niektóre sumy, zużytkowawszy to na seminaryum w Mohylowie. Może z tych powodów pomiędzy rokiem 1785—1790 żadnego nie wyświęcono kleryka w Krasławiu, potem zaś i zasiłek rzymski powoli przestał dochodzić, lecz XX. Misyonarze, pomnąc na dobro Kościoła i kraju, starali się już własnymi środkami, z uszczerbkiem swoich potrzeb osobistych, podtrzymywać ten zakład wychowawczy, za co się im należy wielka wdzięczność społeczeństwa.

Prawie zawsze superyor miejscowy bywał też regensem seminaryum; nauczycieli, zwykle z tego Zgromadzenia, kilku tam zastajemy, a kurs nauk i ich wykłady odbywały się podług programu innych seminaryów misyonarskich.

Nie znamy, niestety, z wieku XVIII. ani profesorów, ani uczniów, alumnów seminaryum krasławskiego, aż dopiero z roku 1821 możemy ich wyliczyć [2]).

---

[1]) Znane czasopismo Rubon w t. VII. podaje to wyszczególnienie, czy zupełnie wierne i dokładne — nie wiemy.

[2]) Directorium Mohylov. na ten rok wydane w Mohylowie.

Prowizorów z kleru świeckiego dwóch: X. Franciszek Maczulski (może Moczulski?), kanonik mohylowski, i X. Karol Kuprewicz, dziekan miejscowy. Egzaminatorowie: tenże X. Maczulski,X. K. Kuprewicz i X Józef Akielewicz, kanonik kijowski. Profesorów Misyonarzy trzech: X. Wincenty Trybułowicz, X. Izydor Jusewicz i X. Mateusz Snarski.

Alumnów dwuletnich 8: Józef Końcewicz, Tadeusz Walentynowicz, Mateusz Kubiłowicz, Tadeusz Budryk, Tomasz Kossowski (jeszcze się tu z nim spotkamy), Kazimierz Kardanowicz, Antoni Dyrgiałło, Fabian Sikorski; i dziesięciu rok pierwszy: Michał Jackiewicz (jeszcze o nim będzie mowa), Antoni Kierszyński, Donat Majewski, Józef Miłaszewski, Piotr Brózdowski, Józef Szpakowski, Tomasz Zalewicz, Józef Brauklewicz, Szymon Karpowicz i Aleksander Starogrodzki = 18.

W r. 1825 [1]) zastajemy tychże samych prowizorów i egzaminatorów; w seminaryum uczyli: X. Jan Erdmann, X. Jan Kuszelewski i X. Kamieński Ludwik, jeszcze dyakon, a dyrektorem był X. Gierdwiłło; alumnów 16: Michał Jackiewicz na czwartym roku, a pomiędzy drugoletnimi: Kasper Skirmuntt (o nim wyżej); na roku czwartym 7, na trzecim 5, dwuletnich 4.

W r. 1830 prowizorami: X Kuprewicz i X. Bonifacy Leśniewski, a egzaminatorami: XX. Maczulski, Akielewicz, Kuprewicz. Profesorowie: X. Jan Erdmann uczył języka rosyjskiego, superyor i regens, X. Antoni Szawlewicz, dyrektor, wykładał teologię moralną, historyę kościelną, wymowę i język francuski, X. Ludwik Kamieński, dogmatykę, Pismo św., ceremonie, kant i łacinę. Kleryków 17 (na 3, 2 i 1 roku); pomiędzy pierwszorocznymi Kaźmierz Szymkiewicz (jeszcze o nim powiemy).

W r. 1832 prowizorami: X. Antoni Nogiewicz, X. Tomasz Kossowski. Egzaminatorowie już nie zaznaczeni. Uczyli, oprócz X. Erdmanna, X. Izydor Jusewicz, dyrektor sem., X. Jakób Mońko i X. Piotr Rollewicz.

---

[1]) Wiadomości o tem podług Dyrektoryów na te lata.

Klerycy: Antoni Piotrowski na 4 roku, Andrzej Dargiewicz też, Donat Szyrmulewicz na 3, Kaźmierz Zbrocki również, Roch Szyrmulewicz rok 2 i reszta też: Gabryel Osmołowski, Adam Sangowicz, Tomasz Tomaszewski, Ignacy Arcimowicz, Stanisław Miłaszewicz, Dominik Gołmin, Franciszek Knipowicz (niewyraźnie), i Sylwester Szpakowski = 14.

W roku następnym alumnów 9; ciż sami profesorowie.

W r. 1834 prowizorowie: X. Jan Kierkiłło i X. Kossowski, a uczyli: X. Erdmann, X. Józef Godkiewicz, dyrektor, X. Jan Hryniewicki i X. Kajetan Piętkiewicz. Alumnów 8; Ignacy Arcimowicz, subdyakon.

W roku następnym: prowizorowie ciż sami, a profesorowie: Mateusz Szyłejko, Kajetan Piętkiewicz i Józef Katkiewicz. Alumni: Wawrzyniec Gordowajń, rok czwarty, Jan Kurszelski i Jan Uderewicz na 3; Józef Pacewicz, Antoni na drugim roku, a na pierwszym Piotr Hryszkiewicz, mający lat 27.

W roku 1838 prowizorowie: X. Kossowski i X. Kuprewicz; profesorowie: X. Mateusz Szyłeyko, dyrektor sem., X. Ignacy Narwoysz i X. Dawid Wilczewski; Alumni: Mikołaj Metelski, Piotr Downar, Gabryel Hrycewicz, Stanisław Piotrowski, Jan Kopaliński, Felicyan Butkiewicz, Józef Maculewicz, Jan Andruszkiewicz, Henryk Michniewicz, Józef Godlewski, Kasper Hrycewicz = 11.

W roku następnym te tylko zmiany, że dyrektorem seminaryum był X. Franciszek Sonulewicz, razem profesor, a nauczał obok dwóch dawnych, X. Kaźmierz Baczkowski (piszą go raz Boczkowski, to znowu Baczkowski; nie mogliśmy dojść, jak się rzeczywiście nazywał). Kleryków 10.

W r. 1841 prowizorowie ciż sami, a nauczali: X. Izydor Jusewicz, X. Daw. Wilczewski, X. Kaz. Boczkowski i subdyakon wtedy, Józef Jałowiecki, z którym się jeszcze spotkamy. X. Sonulewicz dyrektorem. Alumni: Józef Gidlewski, Maciej Orłowski, Józef Kronert, Kajetan Surwiłło, Józef Pilecki, Antoni Bohdanowicz, Eryk Mażynowicz, Józef

Szarniewski, Józef Brzeski, Józef Butkiewicz, Klemens Tarwid i Antoni Opulski = 12.

Nakoniec w r. 1842 prowizorowie: X. Jan Józef Woydak S. T. D. i X. Kossowski. Dyrektorem seminaryum X. Józef (przez omyłkę podano Jan) Jałowiecki, razem i profesor, a nadto nauczali; X. Dawid Wilczewski, X. Tomasz Szuciłło (alias Siuciłło) i X. Wincenty Gościmiński. Alumni: Józef Pilecki, Eryk Mażanowicz (alias Mażynowicz), Józef Szarniewski, Józef Brzeski, Klemens Tarwid, Julian Jałowiecki, Onufry Mioduszewski, Antoni Dąbrowski, Apolinary Kozłowski, Antoni Dargiewicz, Sylwester Szymkiewicz, Kaźmierz Janulewicz i Franciszek Krassowski = 13.

Dnia 7 grudnia 1843 roku ukazem carskim zniesiono seminaryum w Krasławiu, przenosząc je do Mińska. W roku następnym dnia 2 stycznia odbyło się uroczyste zamknięcie jego. X. Józef Jałowiecki, dyrektor (nazywany zwykle ostatnim regensem), podczas nabożeństwa wygłosił mowę, w której przedstawił krótką historyę tego zakładu, wymienił jego dobrodziejów, zaznaczył liczbę wychowańców, przywileje, nadane z Rzymu, uwzględniając znaczenie dziejowe; kazanie to do łez miało poruszyć licznych słuchaczy. Zgromadzony tam lud odprowadził do Dźwiny oddalających się Misyonarzy, śpiewających psalmy i błogosławiących przy rozstaniu obecnych i całe miasteczko. Rozczulenie z obu stron miało być ogromne i bardzo długo o tem opowiadano ze wzruszeniem.

X. Józef Jałowiecki, chociaż niedługo zostawał w Zgromadzeniu, jednak przejął się doskonale duchem wzniosłym tej instytucyi i zawsze był nadzwyczaj gorliwym kapłanem i pracownikiem żarliwym w Winnicy Pańskiej, w Krasławiu zaś położył on niemało zasług, będąc tam proboszczem od roku 1849. Staraniem swojem doprowadził kościół do porządku i wzorowej czystości; przyozdobił go bardzo i wyrestaurował; wprowadził nabożeństwo majowe i inne praktyki religijne; kazaniami swojemi po polsku i po łotewsku

wpłynął niezmiernie na pobożnosć parafian, których ukochał z całego serca. Oddał Bogu ducha w 1884 roku [1]).

Z seminaryum krasławskiego wyszła pokaźna ilość zasłużonych kapłanów, księży wykształconych, odznaczających się i głośnych potem w Kościele; wyliczymy tu przynajmniej niektórych.

Kazimierz Dmochowski, przyszły metropolita, wstąpił do seminaryum krasławskiego w 1797 roku [2]) i tam parę lat zostawał; na kapłana wyświęcony w Wilnie 1803 roku. Następnie tam kanonik, asesor w t. z. kolegium w Petersburgu, prekonizowany na biskupa milteńskiego *in partibus*, sufragan mohylowski; paliusz otrzymał w 1848; umarł w Petersburgu na początku 1851 roku.

Jan Chryzostom Gintyłło też wychowaniec seminaryum krasławskiego. Przyszedł na świat w 1789 r., święcenia kapłańskie w 1813 r., dr. teologii, kanonik żmudzki [3]), również asesor kolegium w stolicy Rosyi, infułat szydłowski etc. Bartoszewicz wychwala jego bibliotekę, rozmaite zbiory, uczoność i t. d., a X. Dobszewicz twierdzi, że będąc w Petersburgu, zaskarbił sobie względy dyrektora Wigela, rząd go na biskupa przedstawił, ale się Stolica Apostolska nie chciała na to zgodzić (Grzegorz XVI miał powiedzieć: *Gintyłło et Rawa nunquam episcopi)* i umarł on tylko administratorem dyecezyi żmudzkiej w 1857 roku.

X. Tomasz Kossowski również się kształcił w Krasławiu; rodził się on w 1798 r., uczył się w szkołach jezuickich białoruskich; po ukończeniu seminaryum, około r. 1824; słuchał nauk w uniw. wileńskim, gdzie otrzymał stopień ma-

---

[1]) X. Jałowiecki rodem był z Kurlandyi; początkowe nauki pobierał w Iłłukszcie, które ukończył w 1835 roku; do Misyonarzy wstąpił w Wilnie i tam, na Górze Zbawiciela, był w seminaryum; na kapłana wyświęcony w 1841 roku; w 1850 został dziekanem wyższego Dynaburga; drukował w języku łotewskim swoje prace ku zbudowaniu wiernych służące.

[2]) Bartoszewicz w Encyklopedyi Orgelbranda.

[3]) Bartoszewicz tamże i Wspomnienia z czasów, które przeżyłem, Kraków 1883, p. 130.

gistra; był, jak widzieliśmy, prowizorem semin., potem dziekanem dynaburskim i długoletnim proboszczem w Liksnie i tam też umarł w 1856 r. Znane są też niektóre dzieła jego drukowane: Grammatyka Inflantsko-Łotewska, Ryga 1853 in 8⁰. 32; w roku 1850—1852 także w Rydze wyszły jego kazania po łotewsku w dwóch tomach in 8⁰ 418 i 354; a w Wilnie 1845 roku w tymże języku o tajemnicach wiary in 8⁰ 416, Książki te bardzo były chciwie na Łotwie czytane[1]).

X. Jan Józef Woydak, mag. fil., dr. teol., prowizor semin. krasław., w swoim czasie z tego seminaryum czerpał wiedzę; przyszedł on na świat przy końcu XIX. w., wyświęcony na kapłana w 1818 roku.

X. Józef Akielewicz, kan. kijowski, wyżej wzmiankowany, należy do uczniów sem. krasł.; ur. w 1779 r., wyświęcony na kapłana na początku XIX w., umarł w 1842 r.; w Wilnie u Misyonarzy w 1817 roku wydał gram. inflancko-łotewską (in 8⁰, 44), bardzo cenną, a w 1832 r. ogłosił w Wilnie u Dworca pracę dla ludu łotewskiego przeznaczoną, o bartnictwie, (in 8⁰, 65), z dedykacyą Michałowi Zyberkowi Platerowi na Liksnie, gdzie X. Akielewicz był proboszczem.

X. Michał Jackiewicz, ur. na początku XIX. w., sem. ukończył w Krasławiu w 1825 r., też znany autor książek łotewskich[2]): w Petersburgu 1848 r. wydał po łotewsku o wstrzemięźliwości (in 8⁰, 44), a w Rydze 1859, tłómaczenie z polskiego, Człowiek wewnętrzny (in 8⁰, 66) (z nieudolnemi bardzo ilustracyami!).

Ks. Jan Józef Kierkiłło, kandydat teologii, proboszcz fejmański, wychowaniec seminaryum krasławskiego, potem dziekan rzeżycki (ur. w 1798, kapłan od 1820 roku), wydrukował w Wilnie u Marcinowskiego, (in 8⁰, 55), o bractwie Serca Jezusowego.

---

[1]) Encyklop. Orgielbranda i Bibliographische Notitz über lettische Schriften, 1604—1871, von Gustaw Baron Manteuffel, w Rydze u Kymmla.

[2]) Z Dyrektoryów wiadomości o datach urodzenia i kapłaństwa, a o pracach wszędzie z wyżej cytowanej bibliogr. notatki G. Manteuffla.

X Jan Kurmin, który przyszedł na świat w 1795, wyświęcony w 1821, też z sem. krasławskiego, jest autorem Słownika polsko-łacińsko-łotewskiego, Wilno 1858, (in 8⁰ maj 282) i homilii po łotewsku, w Wilnie u Zawadzkiego 1859, (in 8⁰, 443).

X. Józef Macilewicz (alias Macylewicz), także wychowaniec sem. krasł. (ur. w r. 1799) proboszcz kownacki, w Wilnie u Marcinowskiego w 1850 r., (in 8⁰ min. V+332), wydał poczytną książkę ludową łotewską o rozmaitych sposobach podniesienia kultury na Łotwie katolickiej.

X. Kasper Skirmunt (ur. na początku XIX. wieku w sem. krasł. od 1823 r.).

X. Kazimierz Szymkiewicz (w seminaryum krasł. w 1830 r.), znany bardzo w swoim czasie.

X. Ignacy Kobyliński, dziekan rzeżycki, (przyszedł na świat w 1801 r., kapłan od r. 1830) również odznaczyli się w uprawianiu piśmiennictwa łotewskiego i w pracy nad ludem.

Nadto niemało XX. Misyonarzy innych (nie z Krasławia, więc tu o nich nie mówimy) czynnych gorliwie było w tym kierunku, a drukarnia misyonarska w Wilnie dużo wydała książek pożytecznych łotewskich, słowem to Zgromadzenie wiele zasług położyło dla Łotyszów-katolików i przyczyniło się znakowicie ku umoralnieniu tego ludu.

* * *

Nie znamy dokładnej daty, kiedy zaczęto nauczać w szkółce parafialnej misyonarskiej w Krasławiu, jest jednak o niej wzmianka w 1775 roku, a we trzy lata później uczyło się tam [1]) 16 chłopców — 11 ze szlachty i 5 mieszczan — czytać i pisać po polsku i po łacinie; szkoła się znajdowała w osobnym drewnianym budynku.

Około roku 1803 [2]) w dwu klasach uczniów 33. Więcej mamy szczegółów o tej szkole z roku 1807, kiedy tamtędy

[1]) Sbornik Materjałow dla istorii prosweszczenia, Petersburg I, 1893, p. 885.

[2]) Id. tom II. p. 685.

zjeżdżał w charakterze wizytatora Ludwik Plater, kamerjunker dworu rosyjskiego[1]). Zastał on tam tylko 18 uczniów (8 szlachty i 10 z miasteczka) podzielonych na dwie klasy, poczynających i doskonalących się; uczono ich czytać, pisać po polsku i po rosyjsku, nadto katechizmu, historyi biblijnej, początków łaciny, arytmetyki i geografii; nauczycieli 2 ze Zgromadzenia pod zwierzchnictwem Superyora.

Wizytator chwali pedagogiczną XX. Misyonarzy działalność, zaznaczając, iż w gubernii witebskiej dwie natenczas były tylko szkółki parafialne (w Krasławiu i Oświeju) i obie utrzymywane przez to Zgromadzenie, ożywione jak najlepszemi chęciami w kwestyi oświaty ludowej i nie szczędzące swoich środków w celach publicznych. Nie podobał się tylko wizytatorowi podręcznik, używany tam do łaciny, gramatyka t. zw. pijarska, a zalecał raczej wydaną dawniej przez komisyę edukacyjną.

W roku 1808 podano tam uczniów 20, a w następnym 27[2]), ale bywało i więcej. Ludwik August Plater, zapisał na rzecz tej szkółki rubli asygnacyjnych 3,600, od których 5 procent opłacał, z funduszów zaś hylzenowskich (o których mówiliśmy wyżej) także coś wpływało do Krasławia, bo są wspominani konwiktorowie tam z tego zapisu, których bywało kilku; tak n. p. w 1810 roku 4, czasem więcej.

Następnie już się nie kontentowali XX. Misyonarze szkółką parafialną w Krasławiu i postarali się o urządzenie tam szkoły wyższej; otwarcie szkoły powiatowej, mającej prawa gimnazyum (wprawdzie niedługo), nastąpiło dnia 1, v. s., września 1814 roku.

Na początku maja roku następnego wizytował ten zakład naukowy, już przeistoczony, Jan Gwalbert Rudomina[3]). Dozorcą szkolnym był wtedy superyor, X. Mateusz Szatkowski,

---

[1]) Periodiczeskoje soczinienie o uspechach proswieszczenia Nr. XXI, Petersburg 1808 p. 432.

[2]) Wiadomości o Szkołach z Muzeum Czartoryskich, gdy inne źródło nie zaznaczone.

[3]) Ta wizyta w ręku piszącego, manuskrypt.

uczący się w Zgromadzeniu w Warszawie; X. Ignacy Downarowicz wykładał matematykę i fizykę, wychowaniec szkół łyskowskich, potem w Wilnie studya zakonne odbywający; X. Antoni Sierociński uczył wymowy, prawa, języka francuskiego, rosyjskiego i rysunków, też w Łyskowie, a potem w Zgromadzeniu się kształcący; X. Grzegórz Wyrzykowski dawał lekcye arytmetyki, geografii i języka niemieckiego, również w Łyskowie i Wilnie się uczący; a kleryk jeszcze Jan Malinowski był nauczycielem języka polskiego i łacińskiego.

Osobnego domu szkolnego jeszcze wtedy szkoły krasławskie nie miały, a mieściły się w refektarzu i niektórych przestronniejszych celach, ale dziedzic Krasławia, Adam Plater, podkomorzy dynaburski z braćmi już zaczął był stawiać duży budynek, na ten cel przeznaczony i na ukończeniu już będący. Narzędzi matematycznych i fizycznych, również osobnej biblioteki szkolnej jeszcze nie było; biblioteka zaś klasztorna zawierała w sobie około półtora tysiąca tomów.

Uczniów w kl. I. — 39, w II. — 11, w III. — 5, w IV. — 3 razem 58. Trzecia i czwarta, dodajemy to od siebie, były następnie zapewne dwuletnie, więc klas tym sposobem liczono sześć, jak i w gimnazyach, i nauki prawie takie same wykładano jak tu, tak i tam, więc ukończenie takiej szkoły powiatowej (wprawdzie tylko do roku 1825) upoważniało do wstąpienia do uniwersytetu.

O personalu pedagogicznym wizytator tak orzekł: „Wogóle profesorowie szkoły krasławskiej nie mają jeszcze potrzebnej do sprawowania nauczycielskich obowiązków zdatności, ale najlepszemi są ożywieni chęciami; do liczby przyczyn, dla których pracy i staraniom tych duchownych skutek nie zupełnie odpowiedział, należy nieregularne w pierwszym roku rozmaicie usposobionych uczniów do klas przybywanie, jak też brak potrzebnych pomocy naukowych i należytych instrukcyi“. Następnie wyróżnił wizytator pomiędzy nauczycielami XX Sierocińskiego i Downarowicza, jako najzdolniejszych. Wykładano tu wszystkie takie przedmioty i w takim programie, jak w innych tego rodzaju szkołach, więc o tem już nie wspo-

minamy, bośmy to już nieraz poruszali na innem miejscu. Z postępu w naukach wizytator wogóle dość był zadowolony i chwalił gorliwość nauczycieli.

Niektórzy uczniowie mieszkali w klasztorze za opłatą 50 rs. rocznie; w miasteczku (mającem wtedy 4000 mieszkańców) stancye znacznie tańsze; t. zw. dyrektorowie domowi pobierali rocznie rs. 3. Uczniowie klasy I. podzieleni byli wtedy na trzy kategorye, *minimusów*, których uczyli prywatnie dyrektorowie domowi czytać i pisać i do szkoły przychodzili tylko poto, aby tam skontrolować tę naukę; *minorów*, uczących się już o częściach mowy, i *majorów*, przechodzących inne nauki, na tę przeznaczone klasę.

Celowali w I. klasie: Seweryn Łepkowski, Wiktor Jęczewski, Wałejniowie Kazimierz i Wincenty, Donat Bożewski i Henryk Hornowski.

W II. klasie: Dominik Fiedorowicz, Ignacy Jęczewski, Józef Milewski i Antoni Ginko.

W klasie III.: Franciszek Bohdanowicz, Ignacy Wałejń, Ignacy Butkiewicz i Ksawery Tarasewicz.

W klasie IV.: Michał Warnowski.

W r. 1816 nauczyciele w ten sposób podani: X. Ignacy Downarowicz wykładał fizykę, matematykę i język francuski, X. A. Sierociński — wymowę, prawo, historyę i język rosyjski, X. Grzeg. Wyszyński uczył w klasie II., a I. — X. Jan Malinowski. Uczniów w roku szkolnym 1819/20 — 66: szlachty 60, mieszczan 4, włościan 2; w roku zaś 1820/21 — 84; mało co więcej w następującym.

Na rok 1822 zaznaczeni tacy profesorowie: X. Dominik Czaykowski uczył fizyki, matematyki i języka francuskiego, X. Fr. Gan — wymowy; X. Jerzy Tołowiński — historyi i prawa, X. Michał Skibicki — języka polskiego i łaciny, X. Jan Erdman — arytmetyki, geografii, X. Wincenty Snarski był kapelanem [1]).

---

[1]) Z wizyty Chodźki dowiadujemy się, że nowowstępujących uczniów w r. 1815/16 było 63, 1816/17 — 44, w 1817/18 — 32, w 1818/19 — 26, 1819/20 — 57. Frekwencya ta często podawana niedokładnie.

W r. 1823 wizytował te szkoły Jan Chodźko, ostatni z ramienia uniwersytetu wileńskiego. X. Wincenty Woliński wykładał wtedy wymowę, łacinę i religię, X. Franciszek Gan prawo, historyę (historyi polskiej też uczono), X. Marcin Taborowski — arytmetykę, geografię, język francuski, X. Jerzy Tołowiński — historyę naturalną i język niemiecki, X. Dominik Czaykowski — matematykę. Uczniów w szkole parafialnej 13, w klasie I. — 30, w II. — 15, III. — 26, IV. — 6, V. — 12, w VI. — 2 = 104.

Celowali w kl. V.: Jan Tromszczyński i Szadurscy, Ignacy i Aleksander; w kl. VI: Feliks Sztengiel i Wincenty Wałejń[1]).

Ale to są ostatki lepszych czasów szkół krasławskich: z końcem roku 1824 gubernię witebską i mohylowską odłączono od wydziału naukowego wileńskiego i wcielono je do petersburskiego, w celu szybszej szkół tamtejszych rusyfikacyi.

Jeszcze przed wcieleniem tych gubernii do wydziału naukowego w Petersburgu kniaź Chowański, generał-gubernator witebski, mohylowski i smoleński, wystąpił z memoryałem do komitetu ministrów, wskazując na demoralizacyę młodzieży z powodu, że się kształci w duchu polskim i katolickim, a niedostatecznie uczy się po rosyjsku; proponował więc zakłady naukowe na Białej Rusi od Wilna odłączyć, wszystkie przedmioty kazać wykładać po rosyjsku, nauczycieli i przełożonych z głębokiej Rosyi przysyłać, internaty dla młodzieży zaprowadzić zupełnie rosyjskie etc., etc. Takiej radykalnej zmiany odrazu nie chciano robić, ale szkoły białoruskie przestały zależeć od Wilna (z początkiem 1825 roku); lekcye języka rosyjskiego powiększono znacznie, chociaż i przedtem poświęcono mu czasu niemało; tak zwykle w klasie I. 5 godzin, w II. — 4, w III. — 4, w VI. — 3; w gimnazyach szło na to godzin tygodniowo 25, niekiedy i więcej; działo się to z uszczerbkiem

---

[1]) Treść nauk w szkole powiat. krasławskiej 1822/23, druk w Wilnie u Bazylianów.

wielkim łaciny, która często szwankowała, szczególnie w zakładach utrzymywanych przez rząd; nadto uczyniono wyłom w języku polskim, jako wykładowym.

W roku 1826 na rewizyę szkół białoruskich posłano Sękowskiego.

Kto był p. Sękowski? Zwykle na to opowiadają, że to znany oryentalista († przed rokiem 1860), potem autor wielu dzieł rosyjskich, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, rodem stamtąd, w Petersburgu profesor, redaktor, pisarz rosyjski i t. d. Nie wszyscy jednak wiedzą, iż jest on też autorem referatu o szkołach na Białorusi [1]), gdzie wystąpił jako niecny oszczerca zakonów, szczególnie takich, które szkoły tam utrzymywały, wróg katolicyzmu i praktyk naszych religijnych, potwarzą szafujący na wszystkie strony [2]), wystawiający mniemane nieuctwo zakonników, zajmujących się nauczaniem, ich rozmaite nałogi zaznaczając, których nigdy nie mieli; nazywający tam Dominikanów w Orszy, Bernardynów w Mścisławiu kryminalistami dlatego, że przyjmowali do sakramentów garnących się do nich wyznawców panującego w Rosyi kościoła. Misyonarze, podług jego mniemania, fanatycy okropni i oni to mieli być przyczyną znanych wtedy niedawnych zaburzeń we Francyi południowej, w Rosyi zaś nie powinni być cierpiani, gdyż takie misye, jakie oni odbywają, mogą mieć miejsce tylko w krajach pogańskich, a nie w arcychrześciańskiem imperyum rosyjskiem. Szkoły krasławskie, podług niego, stoją bardzo nisko, a prefekt podczas wizytacyi w stanie nietrzeźwym, nawymyślał wiele nieprzyzwoitości... Reasumując swoje zdobycze i zaznaczając odkrycia, Sękowski nawołuje rząd, aby natychmiast wszystkie tam szkoły przez zakonników utrzymywane zamknął i zaprowadził zupełnie rosyjskie zakłady naukowe,

---

[1]) Rewizia biełoruskago okruga 1826 goda, wydana w Żurn. nard. poświeszczenia w 1872 r. kwiecień, maj, przez Nowosiołowa.

[2]) Tak np. à la E. Sue w sposób dwuznaczny mówi o stosunka Pijarów połockich do miejscowych Maryawitek; a stowarzyszenie Sodalicyi nazywa — sprzedażą indulgencyi!!

jedynie tam potrzebne, oczyszczając kraj od nieuctwa, fanatyzmu i ciemnoty mnichów[1]).

Chociaż przesada i niedorzeczność w tych doniesieniach widoczne, chociaż wnet potem inny wizytator, Filip Plater, wykazał dowodnie nieuczciwość Sękowskiego, który, jak się pokazało, nawet w niektórych miejscowościach nie był, a tak je zawzięcie oczerniał, — jednak już wtedy (a więc jeszcze przed nieszczęśliwymi wypadkami 1831 r.) skasowano kilka takich zakładów naukowych na Białorusi[2]); Krasław jeszcze czas jakiś pozostawiono.

Sękowski podaje, że w 1825 r. w szkole krasławskiej uczyło się 60 chłopców; rząd dawał zapomogi rubli asygnacyjnych 1400 rocznie; prefektował wtedy X. Kamiński[3]).

Widocznie wydział petersburski naukowy niezbyt energicznie postępował, więc powołano osobny wydział białoruski od początku roku 1829, a na czele jego postawiono kuratora Kartaszewskiego, przyjaciela Siemaszki; on to miał z czasem całą przeszłość pedagogiczną zburzyć nie tylko na Białej Rusi, ale i na Litwie, nie zostawiając tam śladu szkół polskich. Opracowano nowy program: szkoły rządowe zaprowadziły wykład wszystkich przedmiotów po rosyjsku, tylko w gimnazyach 2, a w szkołach powiatowych jeden był nauczyciel, uczący języka polskiego i niby literatury (w parę lat potem i to skasowano), a w szkołach przez zakonników utrzymywanych pozostawiono jeszcze do czasu wykład w polskim języku niektórych przedmiotów, lecz chwile ich istnienia były już policzone i musiały one ustawicznie walczyć z ogromnemi

---

[1]) Niestety, i dziś jeszcze są tacy, nibyto Polacy, t. zw. postępowi, co takim hołdują bredniom, klęski na nasz kraj nieszczęsny gromadząc, a wrogom naszym pomagając.

[2]) W Orszy Dominikanów i w Mścisławiu Bernardynów już w roku 1828, Pijarów w Połocku w 1830. Może kiedy przy innej sposobności pomówimy o tem...

[3]) Czyby to był X. Mikołaj Kamiński, zasłużony i zacny kapłan i pedagog, będący następnie regensem seminaryum w Worniach — nie umiemy powiedzieć.

trudnościami i wyraźną niechęcią władz wyższych; jednakże zakonnicy mężnie stali u wyłomu, broniąc zagrożonej pozycyi, dopóki można było...

Już nieco zmodyfikowane, zapewne, szkoły krasławskie przetrwały do roku 1837 [1]); byłyby więc ostatnie z zakonnych.

Na rok przedtem [2]) mieli jeszcze XX. Misyonarze dwie szkoły powiatowe z 213 uczniami i jedną parafialną, w której się uczyło 23 chłopców. Ponieważ szkoła łyskowska już wcześniej istnieć przestała, więc może tu być mowa o Krasławiu i Iłłukszcie; gdzieby się owa parafialna znajdowała, nie wiemy na pewno; może też w Krasławiu.

Ze szkół krasławskich wychodzili zacni młodzieńcy, co potem nieraz się odznaczyli i zajaśnieli na szerszym horyzoncie.

Wyliczymy tu przynajmniej niektórych.

Kazimierz Buynicki (urodził się 1788 r., umarł w 1878) pobierał pierwsze nauki w szkółce krasławskiej [3]), zapewne około początku XIX. wieku. Osobistość to niegdyś bardzo była znana, ceniona i w literaturze zasłużona. Dziedzic Dagdy w Inflantach, marszałek rzeżycki, potem dynaburski, kurator szkół honorowy, poważany w obywatelstwie, odznaczył się też w piśmiennictwie: wydawał znane w połowie XIX. stulecia czasopismo Rubon (1842—1849); napisał kilka powieści chętnie czytanych w swoim czasie: Siostra Giertruda, Pamiętniki X. Jordana, Gieron, Stara panna etc.; a także są utwory jego wierszem: Moje przygody, Sejmiki powiatowe, Psalmy Dawida i t. d.; rozmaite też studya historyczne i literackie: Mahomet i koran, Joanna d'Arc, Kilka słów o śmieszności w obrazach obyczajowych, Stanowisko poety, i wiele innych, teraz już zapomnianych, ale niesłusznie.

---

[1]) A. Sapunow, Istoriczeskaja Zapiska witebskoj gimnazii, od 1808, do 1883, Witebsk 1884 p. 153.

[2]) Żurnał narod. prosweszczenia, 1837, listopad; sprawozdanie o szkołach w 1836 roku.

[3]) Kłosy r. 1867; Tygodnik ilustrowany 1878, Nr. 140.

X. Jan Tromszczyński, o którym już wspominaliśmy, też należy do wychowańców szkół krasławskich. Przyszedł na świat na początku XIX. wieku, do Zgromadzenia Misyonarzy wstąpił około 1824 roku, na kapłana wyświęcony w 1831 roku; pracował gorliwie w rozmaitych siedzibach swego Zgromadzenia, aż do zniesienia jego w zaborze rosyjskim. Po sekularyzacyi przymusowej działał na Podolu; był proboszczem w Morachwie (podominikańskiej), w Mołczanach, został kanonikiem honorowym kamienieckim i w Mołczanach zakończył swój żywot bogobojny w 1881 roku, ciesząc się ogólną miłością, nawet i inowierców. Był to kapłan ze wszech miar zacny, czcigodny i wymowny kaznodzieja[1]), pełen cnót chrześciańskich.

Szadurscy Ignacy i Aleksander, kolegowali z Tromszczyńskim w szkołach krasławskich, celując tam w naukach.

Szadurscy hr. Ciołek wybitne zajmują miejsce w Inflantach; otrzymawszy spadek po Hylzenach, wzbogacili się bardzo i wzmogło się ich odtąd znaczenie. Z tych Józef, szambelan Stanisława Augusta, poślubił Konstancyę Ryckównę, bogatą dziedziczkę dóbr tam rozmaitych. Z tego małżeństwa kilkoro było dzieci: Józef, w Zakonie Jezuitów, Ignacy, marszałek szlachty gubernii witebskiej, pan na Oświeju, bezpotomny z Michaliną Wielhorską, Aleksander, zapewne zmarły w młodym wieku; ci dwaj ostatni są wychowańcami XX. Misyonarzy krasławskich[2]).

Kilku Platerów, nieznanych nam bliżej, też się uczyło w Krasławiu.

X. Augustyn Lipnicki, znany prałat prepozyt wileński, zmarły w połowie 1912 r., też pobierał nauki w szkole krasławskiej[3]) od roku mniej więcej 1832, lub nieco później.

---

[1]) Przegląd kościelny poznański z r. 1881 Nr. 37, a także Przegląd katolicki.

[2]) Złota księga Szlachty Polskiej, t. II. p. 322.

[3]) Wiemy o tem od samego X. Lipnickiego.

X. Lipnicki urodził się w 1821 roku. w 1843 był w seminaryum w Wilnie u Misyonarzy, potem się przeniósł do dyecezalnego, następnie studya odbywał w Akademii duchownej w Petersburgu, ukończywszy je w 1848 r. ze stopniem magistra. W r. 1862 kanonikiem gremialnym został, a w rok później — wygnańcem w Birsku, gdzie go męczono do roku 1871; internowano w Mitawie, gdzie pozostawał do r. 1884. Powróciwszy do Wilna, był tam czynny przy katedrze i konsystorzu, dopóki nie ociemniał zupełnie w 1894 r. Zdobiły go cnoty kapłana-obywatela kraju. Znane są jego liczne prace literackie: Zasady kaznodziejstwa, Prawa Stolicy Apostolskiej, Życie św. Kazimierza i św. Jadwigi, Tak zwana emancypacya, Pogląd na dzieje literatury polskiej, Dzieje posłannictwa katolickiej niewiasty, Wykład litanii loretańskiej etc.

Smora.

KRONIKA.

Syrya. — O domu Zgromadzenia w *Damaszku*, istniejącym już od roku 1784, a należącym do prowincyi syryjskiej, pisze ks. Artis, Misyonarz, do francuskich „Misyi katolickich“ w liście z dnia 25 kwietnia b. r. w te mniej więcej słowa (*Cfr. Annales* 1913, 3).

Kolegium św. Wincentego w Damaszku rozpada się na trzy działy: 1) Szkoła elementarna św. Józefa, bezpłatna, 2) właściwe Kolegium, 3) Kółko dawnych wychowanków.

Do r. 1860, pamiętnego rzezią chrześcijan, istniała tylko szkoła elementarna. Po czteroletniej przerwie otwarto ją na nowo w r. 1864. Kolegium zaś powstało dopiero w r. 1885. Myśl o zawiązaniu „Kółka dawnych wychowanków“ rzucono zaledwo pięć lat temu (1908). — Do Kolegium uczęszcza obecnie z górą 200 uczniów różnej narodowości i wyznania. Przeważają katolicy; jest wszakże spora liczba wyznawców Mahometa i to z rodzin najznaczniejszych. Nauka obejmuje program od wiadomości elementarnych do filozofii włącznie. Młodzieńcy po ukończeniu kursu nauki w Kolegium obierają po części intratną i zaszczytną karyerę urzędniczą przy administracyi w rodzinnem mieście, albo obierają zawód kupiecki. Najzdolniejsi udają się na wydział medyczny u OO. Jezuitów w Bejrucie. W szkole elementarnej główną rzeczą jest nauka języka arabskiego. Uczniowie nabywają też dość znacznej biegłości w języku francuskim. Liczba uczniów wynosi mniej więcej 150. — Ogólna liczba młodzieży w Zakładzie św. Wincentego wynosi zatem około 350. Jest nadto szkoła elementarna w Midan pod Damaszkiem, do której uczęszcza

około 200 uczniów. W ten sposób większość rodzin chrześcijańskich pozostaje pod wpływem moralnym XX. Misyonarzy, a nadto mogą oni oddziaływać trochę i na muzułmanów.

Niedawno powstałe „Kółko dawnych wychowanków“ liczy obecnie około 40 członków. Zbierają się oni codzień w osobnej sali Zakładu, oddając się pożytecznej lekturze lub zabawiając się grą. Kierownik „Kółka“, ks. Gayraud, miewa dla nich raz w tygodniu odczyty z obrazami świetlnymi. Sprawa ta leży XX. Misyonarzom w Damaszku bardzo na sercu, gdyż w ten sposób mogą na swych wychowanków wywierać wpływ dobroczynny nawet po wyjściu ich z Zakładu.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Białykamień. — Internat małorolnych gospodyń w domu SS. Miłosierdzia.

Na dwoje babka wróżyła — pójdzie albo nie pójdzie — jeżeli wola boża — tak, jeżeli jej nie ma — nie! Takiemi i tym podobnemi myślami, powątpiewaniami, napełnione były głowy tych, którzy w Białymkamieniu rozpoczynać mieli dzieło, jakiego posiew zdawała się Opatrzność rzucać Zgromadzeniu.

Prezes Wydziału Krajowego, Dr. Tadeusz Pilat przyjechał, namawiał, zachęcał, robił obietnice, przyrzekał poparcie; ale to jeszcze nie wystarczające — Sił potrzeba odpowiednich, — sił wyszkolonych, by dzieło podjęte szło — by iść mogło! Rozumiano bowiem, że w czasach dzisiejszych, gdzie oczy wszystkich zwrócone są sceptycznie i krytycznie na wszystko, co w Imię Boże podjęte, nie można byle jak zrobić, byle czem zbyć.

Kształcić kobiety, — przez nie podnieść oświatę i dobrobyt — to hasło doby dzisiejszej! — a hasło to znalazło oddźwięk w wielkiej rodzinie św. Wincentego, która kierowana duchem swojego Założyciela zrozumiała, że chcąc czynić dobrze, nie wolno jej stać na miejscu, nie wolno butwieć w przeszłości; ale tak jak niegdyś święty nasz Ojciec mieć powinna oczy i serce szeroko otwarte, obejmować świat cały

i potrzeby całej ludzkości; — zrozumiała, że chcąc działać musi wypłynąć na pełne wody postępu, by mogła dalej wśród dusz, dla dusz i dla Boga pracować. W Imię więc Boże zabrano się do pracy!

Dzieło — jak to mówią — samo w ręce lazło. Dlaczego? Bogu to tylko wiadomo.

We wrześniu 1911 roku panie ziemianki wynajęły od Sióstr w Białymkamieniu na 2 lata lokal na szkołę gospodarską i tu w dosyć dla siebie uciążliwych warunkach prowadziły kurs dziesięcio-miesięczny, z którego 2 Siostry Miłosierdzia korzystały, o ile się dało. — Pokazało się jednak, że nie wiele można było skorzystać; — aż tu po roku wyżej wspomniane panie cofają się ze wszystkiem, zwijają szkołę dla braku sił nauczycielskich, a rodzi się w ich umyśle Snopków, jako szkoła kształcąca nauczycielki dla szkół gospodarskich. Nie mała niespodzianka! — Przez 2 lata Siostry miały mieć czas na przygotowanie się do nowej pracy, tymczasem zaledwie 4 miesiące dzieli je od mającego się rozpocząć pod ich kierownictwem nowego kursu.

— Nie było czasu do namysłu; — skoro z woli najczcigodniejszych Przełożonych tak być musi, więc tak być ma!

Niesłychanie wiele było trudności, przykrości, co dawało pewną rękojmię, że to dzieło Boże jest, a myśl ta dodawała sił i odwagi. Podano ogłoszenia o istnieniu szkoły do różnych pism, tak w kraju, jak pod pruskim zaborem; a rezultat reklamy, to liczne bardzo zgłoszenia. Dla braku pomieszczenia przyjęto tylko 28 uczenic. W dniu 6 listopada zjechałyśmy się wszystkie do Białegokamienia i rozpoczęłyśmy pracę naszą, która początki miała strasznie ciężkie z powodu braku sił odpowiednich. — Były chwile, w których zdawało się, że już nie zdołamy dalej płynąć, — siły fizyczne i moralne ustawały. — Były to czasy strasznej grozy wojennej; ogólna panika ujemnie wpływała na uczenice, które z domu otrzymywały listy pełne niepokoju, a nawet rodzice niektórych żądali ich powrotu do domu. Był to zaledwie drugi miesiąc

istnienia internatu, gdy ojciec jednej z uczenic z Prus Zachodnich przyjechał, by ją zabrać; zwołałyśmy tedy wszystkie uczenice, oświadczając im, że o ile zechcą, o ile boją sie wojny, jechać mogą; prócz kilku, reszta odważniejszych została, a z temi przetrwałyśmy chwilową zawieruchę i pracę naszą prowadziłyśmy z łaski Bożej szczęśliwie do końca.

W pracy tej pomagali nam dobrzy ludzie z wielką życzliwością. Kółka rolnicze, a w szczególności wiceprezes Zarządu głównego T. K. R., Dr. Bronisław Dulęba, zapalony do idei kształcenia kobiety, całą duszą przyszedł nam z pomocą. Przyjeżdżali instruktorowie z ramienia Zarządu głównego, z ramienia Zarządu powiatowego i z miejscowego Kółka rolniczego. Prócz tego inspektor ogrodnictwa i sadownictwa z ramienia Komitetu Towarzystwa gospodarskiego; jednem słowem Opatrzność zdawała się naszem dziełem z szczególną kierować troskliwością; dodawało nam to otuchy i pchało sprawę naprzód.

Opłata miesięczna od uczenicy wynosiła za utrzymanie 20 koron; że jednak w ten sposób koniec z końcem żadną miarą zejść się nie może, na kurs nowy stawiamy inne warunki, które obecnie w porozumieniu z Najczcigodniejszym Księdzem Wizytatorem, układamy do druku, by z nim zapoznać tych licznie pytających, którzy żądają informacyi w tym względzie.

Uczenice internatu przechodzą kolejno 5 działów:

1) Kuchnia: od potraw prostych do najwykwintniejszych, konserwy zimne, w sposób zwykły, domowy, i za pomocą aparatu Wecka. — 2) Piekarnia: pieczenie chlebów (żytni, pszenny, razowy, grahama), pieczenie ciast, ciastek, a nawet cukierków, pomadek, pierników i t. p. — 3) Pralnia: pranie i prasowanie bielizny zwykłej i męskiej, t. j. glancowanie gorsów, kołnierzy, mankietów, wywabianie plam i t. p. — 4) Mleczarnia: dojenie i przerabianie mleka według najnowszych wymogów hygieny i techniki. — 5) Otrzymują też wiadomości z religii, historyi polskiej, geografii, towaroznawstwa, rachunków, korespondencyi, hygieny, weterynaryi, oraz ogólne wiadomości z rolnictwa, hodowli bydła, nierogacizny, drobiu,

ziół leczniczych i t. p., niezbędne do przygotowania inteligentnej gospodyni.

To nasza robota! Pan Bóg zaś urabia sobie dusze, bliskość bowiem Przenajświętszego Sakramentu potężnie na nie oddziaływa, a nam niesłychanie pracę ułatwia. — Strzegąc je przed bigoteryą i źle zrozumianą pobożnością zaciągnęliśmy je do Stowarzyszenia Dzieci Maryi, do którego z nieopisanym entuzyazmem i zapałem przystąpiły. — Zaprawiano je do krótkiego codziennego zastanawiania się nad sobą, dla postępu w dobrem i dla jednoczenia pracy z modlitwą, by na życie całe Chrystus Pan pozostał dla nich osią, koło której życie ich praktyczne ma się obracać. — Czynnikiem wielkiej wagi w tym kierunku były rekolekcye trzydniowe, którym przewodniczył Najczcigodniejszy Ksiądz Wizytator, urabiając te młode dusze do pobożności gruntowej, prawdziwie w duchu Chrystusowym.

Dnia 26 czerwca b. r. odbył się na zakończenie kursu egzamin, pod przewodnictwem Najczcigodniejszego Księdza Wizytatora, który z właściwą sobie bystrością i taktem potrafił ująć zbyt obszerne ramy programu tak, by egzamin uczynić interesującym dla licznie zebranych słuchaczy.

Po rozdaniu świadectw i nagród wśród ogólnego zapału i ożywienia, przy wspólnym obiedzie, wnoszono liczne toasty, przemowy, z których można było poznać, że praca internatu znalazła uznanie, na czem ze względu na przyszłość dzieła bardzo nam zależało.

Pięć uczenic dnia tego prosiło o przyjęcie.

Ufamy silnie, że poparta modlitwą nowa ta praca nasza na niwie Zgromadzenia pójdzie i wyda swój owoc.

New Haven. — Ks. Superyor A. Mazurkiewicz pisze w liście do Przew. ks. Wizytatora z dnia 12 września b. r. z okazyi poświęcenia kościoła w New Haven:

Gdy ostatnim razem Przewielebny ksiądz Wizytator w Ameryce bawił, kościół nowy w New Haven jeszcze nie bardzo wznosił się w górę. Czekaliśmy wówczas na kamień

i żelazo i nie wiedzieliśmy, kiedy wszystko się skończy. Lecz dziś już kościół wykończony i zdaje się wołać: Oto, co lud polski, choć biedny i na obcej ziemi, zdziałać może, gdy w jedności i zgodzie i z dłonią ofiarną do dzieła przystąpi. Jakie piętnaście lat temu mieliśmy proroków, którzy przepowiadali, że kościoła polskiego nigdy w New Haven nie będzie, że prędzej włosy im na dłoni wyrosną, niż parafia polska się utworzy. Lecz proroctwa te widać od Boga nie pochodziły, bo dziś parafia jest, kościół stary wypłacony, a nowy pobudowany i poświęcony. Było nie mało kłopotu, gdzie kościół nowy pobudować? Każdy chciał go mieć najbliżej. Zaznaczyć trzeba, że Polacy w New Haven mieszkają po całem mieście rozproszeni, po dwie i trzy familie razem. Wobec tego radziłem zbudować kościół *à la* wóz Drzymały na kółkach, by można w każdą niedzielę zajechać na inną ulicę i nabożeństwo odprawić. Kupiliśmy wreszcie miejsce na rogu ulic State i Eld, w centrum miasta i naszej Polonii. Na miejscu tem stał stary episkopalny kościół, drewniana rudera. Przechodził on różne koleje. W mieście był on znany pod nazwą „Wheel-Barrow-Church“, kościół stylu taczkowego, bo rzeczywiście w głównych zarysach przypominał kształty amerykańskich taczek. Episkopalni nie mogąc utrzymać tych taczek sprzedali je pewnej kompanii. Ta kościół ten na rozmaite cele wydzierżawiała. Był on szkołą dla rowerzystów, potem w nim konie ujeżdżano, wreszcie był śpichrzem na meble i różne blachy. Nazywano go też „Eye sorrow“ czyli bólem oka, bo rzeczywiście wyglądał jak suchotnik dogorywający. Każdy pragnął, by go z ziemią zrównano i coś nowego na jego miejscu pobudowano. Nikt jednak w mieście nie przypuszczał, że go Polacy kupią. To też ze zdziwieniem gazety zakupno ogłosiły i dodały, że Polacy na tem miejscu wybudują kościół, szkołę, plebanię, dom dla Sióstr i już nie pamiętam, co więcej. Tymczasem zdobyliśmy się tylko na kościół, bo plebanię i dom dla Sióstr kupiliśmy później. Kościół stary sprzedaliśmy za 138 dolarów i za kilka dni znikł z powierzchni ziemi, a z nim i „Eye sorrow“ czyli ból oka, ale za to

głowa rozbolała, gdy się wspomniało na budowę nowego kościoła, koszta wielkie i nie wielkie zapasy pieniędzy. Lecz Bóg, który radzi o swej czeladzi, dopomógł dzieło zacząć i zakończyć. Ludzie chętnem sercem składali ofiary, przynosili pieniądz na kamień węgielny, który podczas prześlicznej pogody został poświęcony dnia 19 maja 1912 r. Poświęcenia dokonał Najprzew. ks. biskup Nilan w asystencyi księży angielskich i polskich. Ks. Cepa, proboszcz z Meriden, wypowiedział śliczne kazanie, zachęcając lud do ofiarności na kościół nowy. Samo poświęcenie kościoła przypadło dnia 30 maja b. r. Opis poświęcenia posłał do „Dziennika Chicagoskiego“ korespondent jego, zacny p. Stefanowicz. Sądzę, że Przewielebny ks. Wizytator i P. T. Czytelnicy „Roczników“ nie obrażą się, gdy ich odeślę do „Dziennika Chicagoskiego“, wydanego 8 czerwca 1913 r., gdzie o poświęceniu kościoła znajdą następujący artykuł:

W dzień Wieńczenia Grobów, 30 maja, w New Haven odbyło się uroczyste poświęcenie nowego polskiego kościoła pod wezwaniem św. Stanisława. Dla miejscowych Polaków, a zarazem dla nas wszystkich tu na obczyźnie zamieszkałych, była to chwila doniosłego znaczenia. Przekonała ona niejednego obconarodowca, że Polacy nie są bezmyślnie wegetującą cząstką niegdyś sławnego, a dziś rozproszonego po całym świecie, rozdartego polskiego narodu; że umieją cenić i przechowywać w duszach najdroższy skarb — wiarę ojców swoich; że mogą być świetnym przykładem dla tych, którzy zwykli patrzeć na nas z pogardą. Widząc wysoko wznoszący się wieżycą piękny kościół, widząc tłumy ludu z powagą wstępujące do tego Domu Bożego, nie mogli Amerykanie nie ocenić wysiłków tego ludu i silnego przywiązania do religii.

Nowy piękny kościół zbudowany został kosztem 75.000 dolarów, włączając do tej sumy wydatki na organ, ławki, konfesyonały i stacye. Kościół w stylu romańskim, murowany z czerwonej cegły. Wewnątrz kościoła panuje miła harmonia i wesołość. Ze wszystkich stron bogato wpada

światło słoneczne. Na ołtarzu błyszczą złote trzy kopuły, prowadzące wzrok widza gdzieś w dal niebiańską. Ołtarz, filary i balaski imitacya białego marmuru. Wejście do kościoła podniesione, szerokie. W bezmencie mieści się szkoła polska. Organy wspaniałe, zbudowane przez miejscową fabrykę Hall Organ Co. Kościół obszerny, na tysiąc sto dziewięćdziesiąt siedzeń.

W środkowym ołtarzu znajdują się relikwie św. Stanisława B. i M., przywiezione z Krakowa w r. 1909 przez ks. Słomińskiego, Wizytatora Księży Misyonarzy. Od roku 1909 relikwie św. Stanisława znajdowały się w starym kościele polskim, dokąd uroczyście zostały wniesione przez ks. Wizytatora Słomińskiego. Wystawia się je raz do roku w dzień św. Stanisława B. i M. Od chwili wniesienia relikwii i dotychczas na parafię spływają, jak mówił ks. Proboszcz, szczególniejsze łaski Boże. Za te łaski cząstkom św. Stanisława B. i M. parafianie w New Haven winni szczególniejszą cześć i nabożeństwo.

Budowę nowego kościoła rozpoczęto w roku 1911, a 19 maja położono kamień węgielny. Pracę około kościoła ukończono w początku kwietnia 1913 r. Dnia 27 kwietnia odprawiona została po raz pierwszy msza św. i księża Misyonarze z Krakowa rozpoczęli dwutygodniowe misye.

Pięknej uroczystości poświęcenia kościoła dopisała pogoda w zupełności. Dzień był jasny, ciepły, pierwszy tego rodzaju w tym roku. Dzięki prześlicznej pogodzie, tłumy ludu chętnie ściągnęły ze wszystkich poblizkich okolic. Już od godziny 9-tej z rana na stacyi kolejowej i na State ulicy panował niezwykły ruch. Z kilku osad polskich przybywały towarzystwa, jedne w mundurach, inne w odznakach, z chorągwiami.

Z Meriden przybyły towarzystwa kościelne św. Stanisława B. i M., św. Stanisława Kostki, Rycerzy M. B. Częstochowskiej i garstka tamburzystów polskich.

Z Derby przybyły dwa towarzystwa: św. Michała i Rycerzy Sobieskiego; z Ansonii Tow. św. Kazimierza; z Union

City Tow. św. Jadwigi; z Plantsville Tow. św. Anioła Stróża. Na spotkanie przybywających Towarzystw wyszła kapela z marszałkiem parady, Rochem Radeckim, na czele.

Aktu poświęcenia dokonał J. E. ks. Biskup J. J. Nilan z Hartford. Poświęcenie rozpoczął ks. Biskup o wpół do jedenastej w asystencyi kilku księży irlandzkich z New Haven i w obecności wielu księży polskich. Podczas poświęcenia wszystkie Towarzystwa miejscowe i pozamiejscowe stały przed kościołem, dopiero po skończeniu, gdy duchowieństwo zasiadło na swe miejsca za balaskami i celebrans był gotów do wyjścia ze mszą św., po porządku wstępowały i zajmowały wyznaczone siedzenia. Wszystkie siedzenia zajęły wyłącznie Towarzystwa, a tłum ludu zmuszony był stać na ulicy przed kościołem, przed otwartemi drzwiami.

Msza św. uroczysta rozpoczęła się o godzinie jedenastej. Celebrował ks. Maciejowski z Norwich, któremu asystowali: ks. Jan Cepa z Meriden za dyakona, a ks. Paweł Piechocki z Union City za subdyakona.

Podczas mszy świętej ks. Jerzy Głogowski, prefekt kolegium polskiego w Erie, Pa., wygłosił podniosłe kazanie. Mówił o łagodności i miłosierdziu Bożem, zarazem o Jego gniewie za zniewagę świątyni Jemu poświęconej. Zachęcał parafian do szanowania tego pięknego kościoła. W końcu wyraził wdzięczność wszystkim tym, którzy przyczynili się do pobudowania wspaniałego Domu Bożego, i tym, którzy jeszcze mogą przyczynić się do wypłacenia długów. Słowa szanownego kaznodziei wywarły ogromne na słuchaczach wrażenie.

Przed zakończeniem ceremonii przemówił jeszcze J. E. ks. Biskup Nilan. W krótkich słowach zaznaczył, żeby Polacy katolicy nie ulegali wpływom bezreligijnych jednostek, które zwykle starają się tylko rozłam wprowadzić w szeregi nasze i pokłócić jednych z drugimi.

Bardzo pięknie śpiewał podczas mszy św. chór parafialny św. Cecylii pod dyrekcyą organisty A. Grodzińskiego.

Po mszy św. wszystkie towarzystwa z muzyką paradowały głównemi ulicami miasta, poczem powróciły do hali

polskiej, zbudowanej poprzednio przez towarzystwa kościelne. Z miejscowych towarzystw brały udział w uroczystości i w paradzie następujące: św. Stanisława B. i M., św. Piotra i Pawła, Rycerze św. Kazimierza Królewicza, Rycerze św. Michała i Kanonierzy polscy. Sokoli usunęli się.

Liczne duchowieństwo brało udział w poświęceniu kościoła. Oprócz kilku księży obcej narodowości, celebranta z asystą, których imiona już są znane, widziano tam ks. Ignasiaka z Erie, Pa., ks. J. Głogowskiego, prefekta wyżej wspomnianego Kolegium; ks. Trawniczka z Filadelfii, ks. Raniszewskiego z Stamford, Conn., ks. Tyżyńskiego, ks. Janowskiego, ks. Słupińskiego i proboszcza ks. A. Mazurkiewicza.

Uroczystość była bezsprzecznie piękna. Pozostanie ona na długo w pamięci wszyskich, biorących w niej udział.

Tyle pisze *Dziennik Chicagoski.*

Tak więc ta śliczna uroczystość, na którą z upragnieniem serca czekaliśmy, minęła. Kościół stoi na chwałę Bożą i cześć św. Stanisława. Z Bożą pomocą powoli spłacimy długi na kościele ciążące. Nadmienić trzeba, że całe urządzenie wewnętrzne już zapłacone, a to dzięki losowi szczęśliwemu, żeśmy stary kościół sprzedali Litwinom i trochę pieniędzy dostali. Za wszystko zaś, co się dobrego tu stało, niech będzie chwała i cześć i podziękowanie Bogu Najwyższemu.

Adres do Konfratrów w *New Haven:*

Rev. ....

U. S. of North America.

796 State street
New Haven, Conn.

†

Ś. p. ks. Franciszek Block.

Minął już rok przeszło od śmierci ks. Franciszka Blocka, czcigodnego Superyora domu św. Kazimierza we Lwowie, przezacnego Seniora prowincyi polskiej i szanowanego powszechnie Jubilata. Postać tego świątobliwego Starca, steranego ciężką pracą, wyniszczonego długoletniemi cierpieniami, na którego obliczu promieniała zawsze dobroć i wesele, jako widoczny znak czystej i świętej duszy, stoi nam ciągle w pamięci. Życie jego było dla nas ciągłym żywym wzorem dobrego Misyonarza, śmierć zaś drogą w obliczu Boga. Aby pamięć wiernego sługi Bożego odświeżyć u tych, którzy go znali, a przekazać potomnym, kreślimy tych słów kilka.

Ś. p. ks. Franciszek Block urodził się dnia 8 grudnia 1832 roku w Strzepczu, wiosce powiatu wejherowskiego w Prusach Zachodnich. Rodzice jego, Józef i Katarzyna z domu Orth, bardzo zacni i bogobojni ludzie, dbali pilnie o swe dzieci, dając im staranne i religijne wychowanie. Mieli czterech synów, z których trzech poświęciło się stanowi duchownemu, czwarty został lekarzem. Wśród braci panowała zawsze bardzo wielka miłość, dowody braterskiej życzliwości dawali sobie do końca życia.

Franciszek opuścił dom rodzicielski w piętnastym roku życia, udając się do Chojnic na studya gimnazyalne, w roku 1847. W młodości już otrzymał od Boga szczególniejszy pociąg do służby Bożej, do stanu kapłańskiego. Sposobił się też pilnie do tego, idąc w ślady swego starszego brata, Józefa. Ukończywszy gimnazyum w roku 1856, zgłosił się zaraz do seminaryum duchowncgo w Pelplinie i w tymże roku

rozpoczął studya teologiczne. W cztery lata potem otrzymał upragnione święcenia kapłańskie, dnia 7 kwietnia 1860 roku.

Jakie było usposobienie młodego kapłana, gdy stanął po raz pierwszy przy ołtarzu, świadczy całe jego życie kapłańskie, w którem do Mszy św. przygotowywał się zawsze z nadzwyczajną pobożnością i szedł do ołtarza codziennie przejęty żywą wiarą i rozpalony miłością Bożą.

Dla młodego kapłana rozpoczęła się niebawem praca w winnicy Pańskiej. Zabrał się też do niej z całym zapałem gorącej swej duszy. Był kolejno wikarym w Wąbrzeźnie w roku 1860 na 1861, następnie rok, 1861/2, w Miłobądziu, w roku 1862/3 widzimy go pracującego w Tczewie, a potem znowu w Miłobądziu w roku 1863. W tym samym jeszcze roku powołał go Biskup do Pelplina i oddał mu administracyę parafii katedralnej, w której ku wielkiemu zadowoleniu przełożonych i z pożytkiem dla wiernych pracował przez lat pięć, do roku 1868.

Po ośmiu latach sumiennej i wyczerpującej pracy kapłańskiej można się było spodziewać po ś. p. ks. Franciszku, że będzie się starał o probostwo lub wyższe godności kościelne. Cieszył się przecież życzliwością swej władzy duchownej i znany był z kapłańskiej gorliwości. — Stało się inaczej: ks. Franciszek Block zgłosił się do Zgromadzenia Księży Misyonarzy. Dnia 1 października 1868 rozpoczyna w domu Macierzystym w Paryżu Seminarium Internum.

W rok potem (1869) udaje się z posłuszeństwa do domu Księży Misyonarzy w Chełmnie, gdzie przebywa aż do r. 1871, t. j. do kulturkampfu. Gdy rząd pruski zaczął znosić zakony i zgromadzenia, uległ i dom nasz w Chełmnie temuż losowi. Misyonarze uchodzić musieli z kraju, żegnani z żalem przez Siostry Miłosierdzia, Stowarzyszenie Dzieci Maryi i wszystkich wiernych, którym się oddawali całem sercem.

Dom św. Wincentego w Krakowie na Kleparzu stał się portem schronienia dla konfratrów prześladowanych tak pod rządem pruskim jak i rosyjskim P. Bóg złe na dobre obrócił, gdyż nowo wówczas powstały dom na Kleparzu, dzięki

przypływowi sił misyonarskich do tego stopnia się rozwinął, iż stał się macierzystym domem i kolebką, z której początek wzięła obszerna dziś polska prowincya Zgromadzenia.

Ks. Franciszek Block rozpoczął w Krakowie swą działalność kapłańską w dawnym szpitalu św. Ducha. Cicha i sumienna, a uciążliwa praca wypełniała życie tego gorliwego kapłana przez ośm lat, do roku 1879.

Ostatni okres życia jego, najdłuższy, bo lat 33 trwający, przypadł ks. Franciszkowi we Lwowie, dokąd powołało go posłuszeństwo na stanowisko superyora domu św. Kazimierza. Na tem stanowisku znowu cicho a skutecznie pracował nasz czcigodny Misyonarz jako spowiednik licznych domów SS. Miłosierdzia i ich zakładów. Był nadto kapelanem szpitala św. Wincentego, 1879—1886; sprawował urząd kapelana w więzieniu dla kobiet przy kościele św. Maryi Magdaleny, 1880—1901; był równocześnie katechetą w szkole dziewcząt, wychowywanych w Zakładzie św. Kazimierza, i pozostał nim aż do końca życia. Szczególniejszą miłością i opieką otaczał Stowarzyszenie Dzieci Maryi, był ich długoletnim dyrektorem i spowiednikiem.

Dostojnicy kościelni, biskupi i kapłani zaszczycali pokornego Misyonarza swem zaufaniem i jego obierali sobie za powiernika swego sumienia. Jak źródełko z kryształową wodą umieją ludzie wynaleźć, choćby się gdzieś głęboko ukrywało, tak wielkie cnoty ś. p. ks. Franciszka Blocka, a zwłaszcza pokora, prostota i dobroć przyciągały do niego zastępy kapłanów i świeckich ludzi, aby zaczerpnąć z jego serca cnoty i ducha Chrystusowego.

Co mówi Pismo św. o Jobie, to można powiedzieć o ś. p. ks. Franciszku Blocku, że „był to mąż szczery i prosty i bojący się Boga, odstępujący od złego“ (Job. I, 1).

Śliczny i pociągający widok sprawiała prostota tego męża Bożego. Stał na swym posterunku jak kolumna granitowa, oszlifowana cnotami i cierpieniem i oświecona żywą wiarą dziecka Bożego. Jak piramida wierzchołkiem strzela wiecznie ku niebu, tak cała istota ś. p. ks. Franciszka rwała

się do Boga. „Wszystko dla Boga, dla Boga samego“ — oto jego hasło. A wola Boża była drogą, którą kroczył mężnie, czy mu coś było miłe czy nie.

Względem Boga był ks. Franciszek jak dziecko kochające dla umiłowanego ojca. Stosował do siebie to, czego Bóg domaga się od swych wybranych: „Daj mi serce twoje, a oczy twoje niechaj strzegą dróg moich“.

Od młodości dał Bogu swe serce; a z latami nie odbierał go, lecz coraz bardziej je uświęcał i upiększał cnotami. Należał do P. Jezusa, a P. Jezus coraz więcej jemu się oddawał. Rozrzewniał nas widok tego pobożnego starca, jak w kąciku, gdzie sądził, że jest ukryty, mile jak dziecko rozmawiał z P. Jezusem.

Miłość zaś jego ku P. Jezusowi była nietylko uczuciowa, ale czynna, działająca. Pilnie patrzał, czego Bóg od niego żąda, i pełnił Jego wolę. Na znak miłości dawał P. Jezusowi podarunki, porozdawał odziedziczone po rodzicach mienie ubogim i na kościoły. Kaplica SS. Miłosierdzia w Nowosiółkach w znacznej części z hojności jego zbudowana, co on wszystko starannie ukrywał.

Najpiękniejszymi zaś podarunkami były ofiary duszy i serca. Raz poraz zerwała się jakoby struna jego duszy i serca, a temu odpowiadała tylko łza w oku i cichy jęk duszy — potem znów jaśniał w jego oczach i na obliczu zwykły, choć bolesny uśmiech.

Umierali mu kolejno ukochani trzej bracia, rozstawali się z tym światem drodzy mu Misyonarze; spotykały go ciężkie zawody. Nawiedził go wreszcie Pan Bóg ciężkiemi chorobami, które można powiedzieć wykończyły cnoty ś. p. ks. Franciszka. Duch jego opromieniony był nietylko żywą wiarą, ale jakoby patrzał na Boga i rzeczy Boże, serce cierpieniami wyciągnięte wydawało miły dźwięk cichości i słodyczy. Młot cierpienia i pilnik boleści obrabiał bezustannie tę wybraną duszę kapłańską, usuwał, co ludzkie, a wprowadzał, co Boże; za igiełką boleści szła złota nić miłości Bożej. W nagrodę za wierność ustawiczną nagradzał Bóg swego sługę cierpieniem,

bo jak mówi św. Jan Chryzostom: „Gdyby kto miał dar czynienia cudów, stałby się dłużnikiem Bożym, gdy zaś cierpi, wtedy Bóg staje się jego dłużnikiem". Nie mógł ów świątobliwy kapłan w ostatnich miesiącach sprawować ofiary Mszy św., za to jako ziarnko pszeniczne wrzucony do ziemi cierpienia obumierał dla siebie, a zaczął żyć życiem ofiary i poświęcenia dla Boga i ludzi. W końcu jakoby młyńskim kamieniem okropnych boleści zmiażdżone było to spalające się życie kapłana-męczennika. Kiedy bowiem zapadł na chorobę raka i z posłuszeństwa poddał się bardzo ciężkiej operacyi, sami lekarze przerażeni byli niesłychaną cierpliwością świętego starca, który szarpany i krajany żywcem przez godzinę, bez usypiania, trzymał w ręku krzyżyk i gdy już omdlewał od okropnego bólu, całował krzyżyk i z cichym jękiem się modlił i szeptał te tylko słowa: „O Jezu, miłosierdzia!". — Cóż dziwnego, że w takim ogniu doświadczeń Bożych dusza ś. p. ks. Blocka jako złoto w ogniu zajaśniała niebywałym blaskiem miłości Bożej. Względem bliźnich odznaczał się ś. p. ks. Franciszek prawdziwą miłością nadprzyrodzoną. Patrzał oczyma wiary na bliźnich jako na dzieci Boże i obraz Boży, i dlatego miał dla nich szacunek i delikatność w obejściu. Chociaż widział w nich wady, błędy i grzechy, nie tracił szacunku dla nich, gdyż *vera caritas non habet indignationem, sed commiserationem:* prawdziwa miłość niema niechęci, lecz politowanie. Brzydził się grzechami, ale kochał dusze. Upominał błądzących cierpliwie, kiedy go obowiązek do tego przynaglał, a nawet i karcił, ale jadu niechęci nie sączył do rany, jaką musiał zadać, lecz balsam miłości. Czuło się ojcowskie serce, które zaraz przebacza i kochać nie przestaje.

Na podobieństwo św. Pawła stawał się wszystkiem dla wszystkich. Prostota tego świątobliwego starca i ujmująca dobroć otwierały mu serce innych. Ileż to zdziałał w cichości i w ukryciu przed ludźmi! Są to rzeczy zapisane w księdze żywota! „Jestem dłużnikiem wszystkich", mawiał zapewne, gdy mu ludzie odbierali drogi czas, wytchnienie, pieniądze, zdrowie. Szli do niego tłumnie ubodzy, których

wspierał, szli ludzie po radę, szukali go w konfesyonale, listami go zarzucali. Wszystkim udzielał się, odpowiadał, uspokajał, ale tak zawsze, aby to nie było z uszczerbkiem dla obowiązków i aby reguły i porządek domowy na tem nie ucierpiały. Pod tym względem był ś. p. ks. Block wzorem niedoścignionym, jak umiał te akty miłości pogodzić z obowiązkami przełożonego i Misyonarza. Jako Misyonarz kochał ubogich i grzeszników i dzieci, dla nich i serce, miłosierdzie materyalne i duchowe wylewał, przez spowiedzie, katechizacye ich ratował.

O ile ś. p. ks. Block miał synowskie serce dla Boga i miłość i poświęcenie kapłańskie dla bliźnich, o tyle był pełen zaparcia dla siebie, można powiedzieć nawet surowym. Święty ten kapłan wiedział z doświadczenia, że Bóg jest dla nas wszystkiem i że to, co mamy dobrego lub czem jesteśmy, Bogu zawdzięczamy — a nędza ludzka jest tak wielka, więc oddawał Bogu z tego wszystkiego cześć i chwałę, a sam się uniżał. Kto go bliżej znał, ronił łzy rozrzewnienia, widząc, jak głęboko się przed Bogiem uniżał ów zasłużony kapłan i jak mieszkał w przepaściach swej nędzy. Nic dziwnego, że łaskawość i miłosierdzie Boże potokami łask spływało na te pokorne niziny. Zaparcie siebie, posunięte prawie do heroizmu. Praca u niego nieznużona przez całe życie; mimo trudności, niepowodzeń, stał na swym posterunku, jak dobry żołnierz Chrystusa, cierpliwy, niezmordowany w pracowitości, nie tracący chwili czasu. Skoro tylko przyszedł do swego pokoju, zaraz brał książkę do ręki, czytał, pisał, kazania powtarzał i pogłębiał wiedzę teologiczną. Działo się zaś to wszystko w porządku, stale, akuratnie, według ułożonego programu, od którego nie odstępował.

Póki był zdrów ś. p. ks. Block, praca tak go nie wyczerpywała, ale w wieku późniejszym i przy nadwątlonem zdrowiu ta ciągła praca męczyła go bardzo, czego on nie lubił okazywać. Nie skarżył się, lecz milcząc szedł do konfesyonału, gdzie całemi godzinami przesiadywał; a wróciwszy

do domu przechodził zaraz do innej pracy, czy w szpitalu lub w szkole.

Młodzieńczą moc ducha i zaparcia siebie, którąśmy podziwiali w księdzu Franciszku Blocku, czerpał czcigodny Jubilat w modlitwie i w ścisłem złączeniu swej duszy z Bogiem. Łaski Boże posiłkujące, jako skutek ducha modlitwy, który go ożywiał, dawały mu ową jakoby niezmierną elastyczność woli, cierpliwości i stałości ducha i rozlewały w jego sercu miłość, wesele i dziwny pokój, iż działał z mocą, cichością i słodyczą. Temperamentu był żywego, lecz akty cnót, cierpienia i łaska Boża, nadały mu cechy dobroci, powagi i miłosierdzia Chrystusowego.

W końcu trzeba podnieść w ś. p. księdzu Franciszku Blocku wzór doskonałego Misyonarza. Pod względem ścisłego zachowania reguł był niedoścignionym. Cenił sobie by i najmniejszą regułę i słusznie ją uważał za objaw woli Bożej i ciągłą praktykę miłości Bożej, i do tegoż zachowania drugich słowem i przykładem pociągał.

Wtedy czuł się ów dobry przełożony szczęśliwy, gdy wszystko odbywało się w domu w porządku, jakoby w zegarze, sumiennie, pilnie i dokładnie. W przeciwnym razie prosił, nalegał, a nawet karcił słowami. Szczególniej wiernym był w rannem wstawaniu o czwartej godzinie i w odprawianiu porannej medytacyi. Gdy choroby ciężkie raz po raz przykuwały go do łóżka, w niczem nie zaniedbał swych ćwiczeń; omdlałemi rękoma w gorączce brał książkę do modlitw i medytacyi, czy brewiarz, i odprawiał te wszystkie ćwiczenia, nie pomijając czytania Pisma św., czytania duchownego i różańca. Skoro tylko trochę do sił przyszedł, zaraz zrywał się z łóżka i znowu punktualnie przychodził na modlitwę poranną. Trudno go było nakłonić do spoczynku; odpowiadał, że dusza w niebie odpocznie, a ciało w grobie do dnia sądnego. Aż litość brała patrzeć na tego starca, chwiejnym krokiem zdążającego do kaplicy. Wiedział przezacny Jubilat, że tam jego moc i siła i tajemnica wytrwania w dobrem, t. j. w modlitwie i wierności w spełnianiu woli Bożej.

Chociaż ś. p. ks. Franciszek przekładał nad wszystko życie ukryte i chciał być nieznanym, to przecież woń jego cnót i blask świątobliwości życia rozchodził się daleko.

Pan Jezus raczył go opromienić aureolą czci i szacunku, jaki żywiono dla świątobliwego Misyonarza, w dniu obchodu 50-letniego jubileuszu kapłaństwa. Wtedy to obydwie Rodziny św. Wincentego dały mu dowody swej czci i miłości. Na te jego złote gody kapłańskie, 6 lipca 1910 r., zgromadziło się wielu konfratrów z naszej prowincyi; od całej prowincyi składał mu życzenie Przew. ks. Wizytator Słomiński, a imieniem archidyecezyi lwowskiej rzewnie przemawiał do ks. Jubilata ks. arcybiskup Bilczewski, podnosząc to, że „ks. Jubilat od szeregu lat jest powiernikiem jego sumienia, przykładem wzniosłych cnót kapłańskich świeci na całą archidyecezyę, na kraj cały, i krzepi zastępy kapłanów i świeckich ludzi“.

Po tym promieniu radości przyszły na czcigodnego ks. Jubilata w ostatnich miesiącach życia najcięższe choroby i cierpienia, które znosił nietylko z heroiczną cierpliwością i stałością, ale z pogodą i weselem ducha. Tak cenił sobie owe cierpienia jako skarb Boży i objaw miłości Boga, że nie dozwolił nawet, aby się nad nim litowano, lecz owszem litował się nad małemi cierpieniami drugich, a o swoich cierpieniach nieraz z taką wesołością i humorem wspominał, że się zapomniało, iż ten męczeński kapłan oddycha boleścią.

Gdy wreszcie ta święta dusza dojrzała dla nieba, przyszedł Pan Jezus po swego wiernego sługę, a powiew lekki śmierci strząsnął owoc, dojrzały dla nieba. Najśw. Marya Panna wzięła w opiekę tego, który Ją za życia tak czcił i miłował i drugich do Niej prowadził.

Umarł ś. p. ks. Franciszek Block we Lwowie w domu św. Kazimierza, dnia 12 czerwca 1912 roku.

I znowu licznie zjechali się konfratrzy z prowincyi, aby czcigodnemu ks. Seniorowi prowincyi polskiej i ukochanemu Konfratrowi oddać ostatnią posługę. Zwłoki ś. p. ks. Fran-

ciszka Blocka złożono we wspólnym grobowcu księży Misyonarzy na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

Pamięć wielkich a cichych cnót i niezwykłej zacności i prawości charakteru tego świątobliwego Misyonarza, jego miłość dla Zgromadzenia, przechowa się we wdzięcznej pamięci u tych, którzy go znali — a mamy błogą nadzieję, że i On tam w niebie pamiętać będzie o tych, których tu za życia miłował. *Ks. Cz. L.*

Ś. p. ks. Jan Szulc.

Dnia 25 czerwca b. r. zeszedł z tego świata ś. p. ks. Jan Szulc. Zeszedł w wiośnie życia, bo liczył zaledwie trzydziesty pierwszy rok życia.

Dziwną drogą prowadził go Pan Bóg do celu; a droga ta do łatwych nie należała. Jego młodości nie przyświecało słońce szczęścia i powodzenia; wygody i dostatek były mu nieznane. Tosamo piętno krzyża i trudów znamionowało go do końca dni jego.

Urodził się w Dąbrówce w Poznańskiem, dnia 26 grudnia 1882 r. Rodziców miał ubogich: ojca niemca i protestanta, utrzymującego rodzinę ciężką pracą zarobkową; matkę, biedną wieśniaczą córkę, zawsze chorowitą. Matka przelała na syna czułą swą pobożność, lecz przekazała mu i wątłe zdrowie.

Syn, wyznając wiarę swej matki i przyznając się do jej narodowości, miał z góry utrudnioną przyszłość w Prusiech, wobec wyznania i narodowości ojca.

Oddany do gimnazyum w Gnieźnie za staraniem swego ks. proboszcza, który się nim po ojcowsku zajął i w pierwszych latach nauki łożył na jego utrzymanie, natrafił na wielkie trudności. Toteż po kilku latach opuszcza Gniezno i przybywa do Krakowa w r. 1904, przyjęty do kl. VI. w zakładzie Księży Misyonarzy na Kleparzu.

I tutaj łamać musiał rozliczne trudności. Inny język wykładowy, inna metoda, inne otoczenie — wszystko to nie-

mało sprawiało mu kłopotu i przykrości. Słabe zdrowie, delikatne i nieco przeczulone usposobienie, a przytem pewien pedantyzm, odziedziczony zapewne po ojcu niemcu, pomnażało tylko trudności w przestawaniu z przełożonymi i równymi. Dążył jednak wytrwale do celu. Zaufał zupełnie ówczesnemu Dyrektorowi Zakładu, ks. Bartłomiejowi Szulcowi, który go na Kleparz przyjął; z podobnem zaufaniem odnosił się też do późniejszych swych przełożonych i przewodników duchownych — to mu ułatwiło znacznie dalszą pracę.

Z końcem sierpnia 1905 roku wstąpił do Seminarium Internum Zgromadzenia. Życie seminaryjne to chwile szczęśliwe, pełne ideałów, planów na przyszłość, życie pięknych postanowień, składanych codziennie Bogu w częstych rozmyślaniach. Życie seminaryjne to praca ustawiczna nad sobą, to wyrzeczenie się jednych nawyknień a nabywanie drugich, to epoka przełomowa w życiu dla dusz, co z powagą na życie patrzą. A taką właśnie była ta dusza, bo w szkole krzyża i utrapienia wykształcona. „Czym godzien być synem św. Wincentego, Ojca ubogich? Czy obowiązki, jakie biorę na barki, nie przechodzą mych sił i zdolności? Czy osiągnę cel, do którego zmierzam?“ Podobne pytania miał wciąż na ustach, stawiał je sobie przez cały czas próby. Zostawiając decyzyę przewodnikom duchownym, sam zanosił gorące modły przed P. Jezusem utajonym w Najświętszym Sakramencie, gdzie go często w ciągu dnia spotkać było można, i u stóp Matki Najświętszej, którą kochał zawsze dziecięcą miłością. Modlitwy jego szczęśliwy uwieńczył skutek, dnia 27 września 1907 roku złożył śluby święte, a temsamem na zawsze stał się członkiem Zgromadzenia.

W ciągu dalszych studyów i przygotowania się do kapłaństwa cieszył się nadzieją, że matce sprawi pociechę zobaczenia syna przy ołtarzu; a marzeniem jego było, że pierwszą owieczką, którą sprowadzi na drogę Bożą, do Kościoła katolickiego, będzie własny ojciec.

Święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 2 lipca 1911 r. P. Bóg tymczasem na lat kilka przedtem powołał jego matkę do siebie. A choć syn pospieszył do łoża umierającej, nie było mu danem ani zamknąć jej powiek ani towarzyszyć pogrzebowi, gdyż ciężka niemoc powaliła go zaraz po przyjeździe do domu rodzicielskiego na łoże boleści na cały miesiąc. Drugie marzenie jego także się nie urzeczywistniło. Krzyże te wszelako, jak inne wszystkie, nie złamały go, choć coraz bardziej podkopywały wątłą budowę jego organizmu.

Z gorącym zapałem jął się pracy jako kapłan. Dość znaczny dar wymowy pchał go często na ambonę. Za każdym jednak razem zbytni na swe zdrowie wysiłek przypłacał kilkudniowem całkowitem wyczerpaniem fizycznem. Tak wśród pracy i cierpień ukończył studya teologiczne na Stradomiu.

Kiedy Konfratrzy z tego samego kursu rozjeżdżali się w czerwcu r. 1912 na swe stanowiska, ks. Szulc musiał się poddać ciężkiej operacyi w szpitalu św. Łazarza, a potem przebyć kilkutygodniową kuracyę. Przyszedłszy nieco do sił osiadł w jesieni tegoż roku na Kleparzu, pierwszym swym posterunku misyonarskim. Choć gruźlica coraz bardziej nurtowała w jego organiźmie nie usuwał się od żadnej, choćby najcięższej pracy, póki choroba nie powaliła go z początkiem roku bieżącego na łoże boleści, najpierw na Kleparzu, a potem u św. Łazarza. Przez całe te kilka miesięcy przed śmiercią łudził się wciąż nadzieją wyzdrowienia i długiej jeszcze pracy misyonarskiej.

Krótką była jego działalność kapłańska, a jak życie całe, naznaczona krzyżem. Zgasł wszakże z pogodnem obliczem, z zupełnem poddaniem się woli Bożej, na ręku swego ks. Superyora. *X. M. S.*

Zmarli Misyonarze:

Ks. Wiktor Catala, 23 maja w Paryżu, żył lat 66, w Zgromadzeniu 44.

Kler. Jan Gollcher, 1 czerwca w Dax, żył lat 28, w Zgromadzeniu 8.

Br. Edward Delanuit, 9 czerwca w Anturze (Syrya), żył lat 77, w Zgromadzeniu 59.

Ks. Sylwester Haire, 9 czerwca w Germantown (Stany Zjednoczone), żył lat 71, w Zgromadzeniu 49.

Ks. Jan Szulc, 25 czerwca w Krakowie, żył lat 31, w Zgromadzeniu 8.

Ks. Franciszek van Meerendonck, 27 czerwca w Pai Hiang (Chiny), żył lat 39, w Zgromadzeniu 9.

Br. Jan M. Liberge, 7 lipca w Paryżu, żył lat 68, w Zgromadzeniu 33.

Br. Augustyn Mauro, 28 czerwca w Neapolu, żył lat 81, w Zgromadzeniu 55.

Ks. Heladyusz Arnaiz, 10 lipca w Madrycie, żył lat 70, w Zgromadzeniu 55.

Ks. Jan Józef Vicente, 21 lipca w Guadalajara (Hiszpania), żył lat 27, w Zgromadzeniu 10.

Ks. Wincenty Czenn, 3 sierpnia w Kao-Czeng (Chiny), żył lat 49, w Zgromadzeniu 23.

Ks. Juliusz Lemaître, 5 sierpnia w Theux (Belgia), żył lat 67, w Zgromadzeniu 46

Ks. Tomasz Reynolds, 5 sierpnia w Cork (Irlandya), żył lat 76, w Zgromadzeniu 55.

Ks. Józef d' Isengard, 10 sierpnia w Rzymie, żył lat 68, w Zgromadzeniu 41.

Br. Józef Lesoin, 30 sierpnia w Ningpo (Chiny), żył lat 63, w Zgromadzeniu 42.

Ks. Saba Bevilacqua, 4 września w Rzymie, żył lat 77, w Zgromadzeniu 62.

R. I. P.

SPIS RZECZY.

ARTYKUŁY I SPRAWOZDANIA.

KRONIKA.

NEKROLOGIA.

RYCINY.

Kraków – Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.